WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
ROK VII
Nr 41 (314)
8 października 1967 r.

150 rocznica śmierci Naczelnika

Legenda Kościuszkowska

Trwa już półtora wieku, a zaczęła się jeszcze za życia Naczelnika w sukmanie, Legenda Kościuszkowska. Zwycięska bitwa pod Dubienką w lipcu 1792 r. rozsławiła bohatera dwu kontynentów piórem Alojzego Felińskiego, późniejszego sekretarza Kościuszki. Feliński pierwszy w naszej literaturze począł szerzyć Legendę Kościuszkowską, która niebawem ogarnęła cały kraj. Przez cały wiek XIX po miasteczkach i wsiach śpiewają pieśni o Naczelniku w sukmanie i jego kosynierach; poeci piszą wiersze, a powieściopisarze utwory poświęcone bohaterowi walki o niepodległość; żołnierze idą w ogień za ukochanym wodzem, lud mu sypie mogiłę — Kopiec Kościuszki pod Krakowem; niezliczone portrety i podobizny, posągi, uwieczniają pamięć Tego, który walcząc „Za wolność i lud" wpisał się w naszą historię

PRZYSTAŃWA DO KOŚCIUSZKI!

Rozpoczął więc tę legendę Feliński wierszem „Pochwała Kościuszki" po bitwie pod Dubienką oraz utworem „Zdanie Krakowiaka o powstaniu Warszawy" i płomiennym wezwaniem „Do broni! Bracia, do broni!...", kończącym się słowami: Z Kościuszkiem bić i zwyciężyć!"

Wzruszający w swym prymitywie jest wiersz obozowy zapisany w 1794 r.: „Rzućwa pługi, rzućwa radło — trza wojować, kiej tak padło... Poprzedajwa woły z zbożem, śpieszwa wszyscy za obozem, poprzedajwa i poduszki, a przystańwa do Kościuszki!"

WIZJA MALARSKA

Wiszący na ścianie soplicowskiego dworu portret Kościuszki był zapewne jedną z kopii obrazu Stachowicza, który namalował scenę przysięgi Naczelnika; stała się ona swego rodzaju wzorem ikonograficznym dla innych malarzy, portrecistów i poetów. Jednym z towarzyszy Kościuszki w okresie Insurekcji był Michał Stachowicz, twórca jednego z najbardziej znanych obrazów: Przysięgi na Rynku Krakowskim. Kościuszko stoi pośrodku w otoczeniu generałów, a jeden z nich, Wodzicki, trzyma tekst przysięgi. W głębi szpalery wojska, po bokach grupki mieszczan krakowskich w ówczesnych strojach. Cała scena przedstawiona na tle Sukiennic i Ratusza. Obraz ten był jednym z tych dzieł, które utrwaliły na długie lata Legendę Kościuszkowską.

KOŚCIUSZKO POD RACŁAWICAMI

Słynna bitwa Racławicka przeszła nie tylko do legendy i historii, ale została uwieczniona również w poezji i na obrazie. Aleksander Orłowski, który był naocznym świadkiem zwycięstwa pod Racławicami, świetnie utrwalił na obrazie moment zdobycia armat przez Bartosza Głowackiego. Ten epizod rozsławili w poezji Gustaw Ehrenberg, Teofil Syrokomla, a przede wszystkim Ludwik Anczyc w historycznym obrazku scenicznym „Kościuszko pod Racławicami", który przez całe lata niewoli był najważniejszym „gwoździem" patriotycznych widowisk i przyczynił się mocno do podtrzymania i utrwalenia Legendy Kościuszkowskiej.

PATRZ KOŚCIUSZKO NA NAS Z NIEBA

Jednym z najbardziej znanych wierszy, popularyzujących Legendę Kościuszkowską, był utwór Rajnolda Suchodolskiego „Patrz Kościuszko na nas z nieba, jak w krwi wrogów będziem brodzić. Twego miecza nam potrzeba, by Ojczyznę oswobodzić. Wolność droga w białej szacie złotym skrzydłem w górę leci, na jej czole, patrzaj bracie! jak swobody gwiazda świeci. Oto jest wolności śpiew, śpiew, śpiew, my przelejem za nią krew, krew". Więc za tę wolność szli przelewać krew żołnierze powstania kościuszkowskiego i Legiony Dąbrowskiego, idące z ziemi włoskiej do Polski ze śpiewem „Dosyć tej niewoli! Mamy racławickie kosy, Kościuszkę Bóg pozwoli", i ułani Królestwa Kongresowego, idący w bój w powstaniu listopadowym. Legenda Kościuszkowska, podsycana strofami Berwińskiego i powieściami Kraszewskiego, mówiła powstańcom 1863 roku, jaka jest cena wolności. Przypomniany przez postępowych historyków Manifest Połaniecki ustawił Kościuszkowską Legendę w nowym świetle i znalazł dalszy swój ciąg już w okresie międzywojennym: Racławice spłynęły znowu krwią chłopską w obronie sprawiedliwości społecznej.

KOŚCIUSZKOWCY

Najpiękniejsze jednak kościuszkowskie tradycje niepodległościowe wzięła w spadku I Polska Dywizja im. Tadeusza Kościuszki, maszerująca znad Oki nad Wisłę, Wartę i Odrę, aby wypędzić z Polski znienawidzonego wroga. Kościuszkowcy, walcząc o wyzwolenie narodowe, walczyli równocześnie o wolność społeczną tych, których przodków wyzwalał pod Połańcem Naczelnik w krakowskiej sukmanie.

Legenda Kościuszkowska, która na trwałe zrosła się z naszymi powstaniami narodowymi i z walką o wolność innych krajów, trwa i trwać nie przestanie, jak długo płomień „świętej miłości kochanej Ojczyzny" będzie się żarzył w sercach naszych.

ADRIAN CZERMIŃSKI

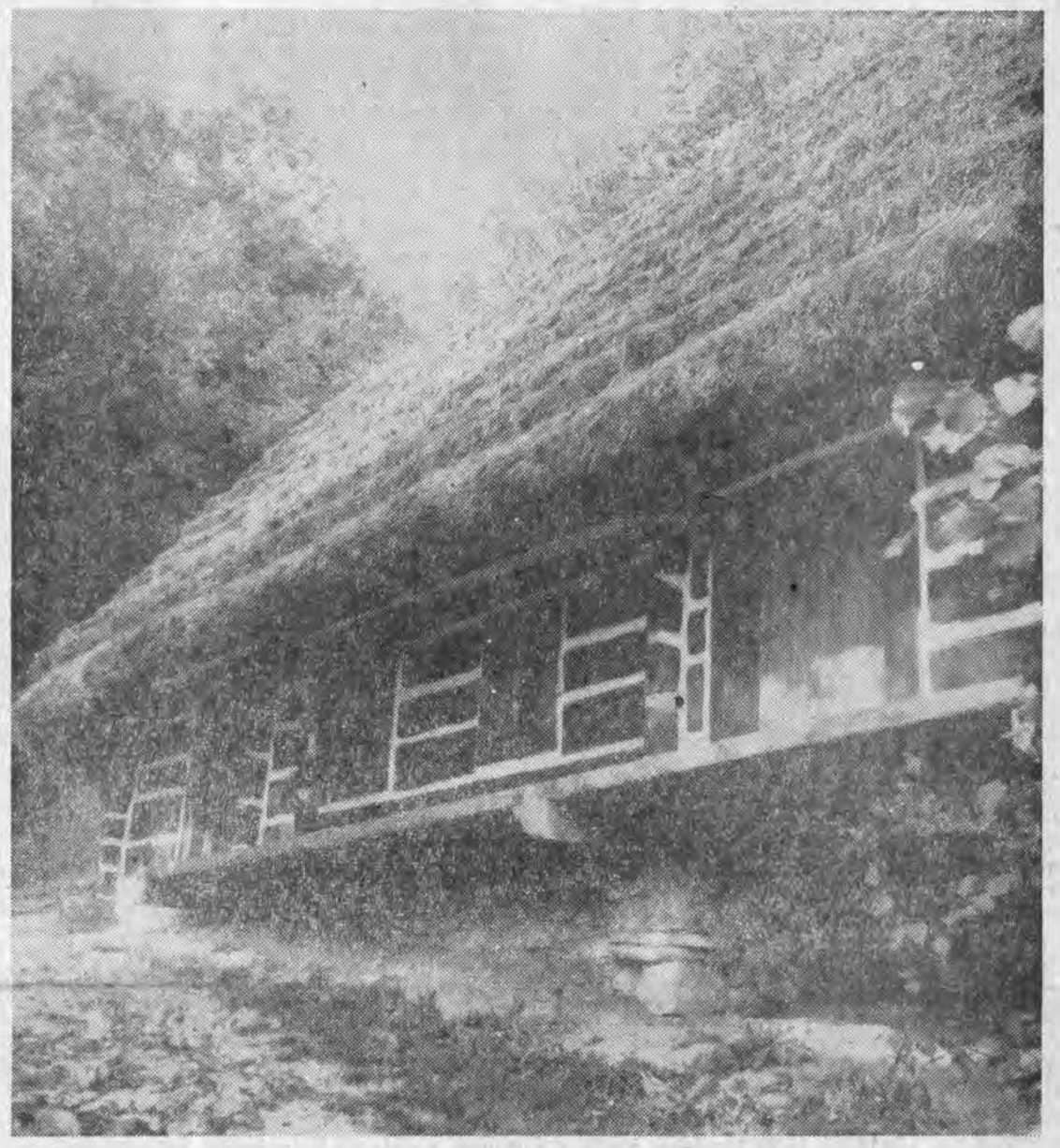

Fot. M. KOPEC

Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku.

Jan Gryglel

POSTULATY I WARUNKI

Przed nowym sezonem kulturalno-oświatowym odwiedziliśmy kilka placówek pracy kulturalnej, by zobaczyć jak są przygotowane do nowych zadań. Tym razem były to Zakładowe Domy Kultury na Podkarpaciu — w Krośnie i w Gorlicach. Interesowało nas szczególnie to, jak te placówki zamierzają realizować zasadnicze postulaty bieżącego roku kulturalno-oświatowego: rozszerzanie zakresu swej działalności na pracowników dojeżdżających do zakładów ze wsi oraz poszukiwanie nowych i różnorodnych form pracy, elastycznie dostosowywanych do zainteresowań środowiska. Szukaliśmy prób łączenia w domach kultury elementów sportu i turystyki z pracą oświatową i artystyczną. Chcieliśmy wreszcie zobaczyć, jak wygląda baza lokalowa i materialna — która jest przecież podstawą sprawnego działania — w placówkach zakładowych.

Aby nie być niesprawiedliwym muszę na wstępie stwierdzić, iż zarówno w ZDK Górnika Naftowca i w ZDK Krośnieńskich Hut Szkła w Krośnie, jak i w Domu Kultury fabryki maszyn i rafinerii w Gorlicach, praca idzie na pełnych obrotach.

Świadczy o tym m. in. fakt, że u naftowców w Krośnie działa 36 zespołów: w tym 13 artystycznych i 23 kółka zainteresowań oświatowych i rozrywkowych. W Domu Kultury Hutników, niedawno przecież istniejącym, pracuje 15 sekcji, a w ZDK w Gorlicach — 14. Przy tym każda z tych placówek ma swój własny profil, wynikający chyba z zainteresowań kierowników; Wiktora Łąckiego u naftowców od lat pasjonuje teatr amatorski — jest nie tylko doświadczonym reżyserem, lecz także pisze dla sceny — nic dziwnego, że w tym domu kultury na pierwszy plan wybija się teatr. W ZDK Krośnieńskich Hut Szkła prym wiodą zespoły muzyczne zdobywające coraz więcej nagród i wyróżnień na wojewódzkich i okręgowych przeglądach. W gorlickim Domu Kultury, aczkolwiek nie brak zespołów muzycznych i teatralnych, najwięcej uwagi poświęca się pracy oświatowej.

* * *

Szukaliśmy wszędzie jakichś nowych form pracy k. o. dostosowanych zwłaszcza do zainteresowań młodzieży. Owszem, pojawiają się, choć w ilości skromnej i niewielkim zasięgu. Np. we wszystkich trzech placówkach działają kółka radioamatorów-krótkofalowców. Pracuje w nich z dużą pasją i upodobaniem młodzież na sprzęcie dostarczonym przez LOK pod opieką fachowych instruktorów. Szkoda, że ze względu na małą ilość krótkofalówek zespoły te nie mogą objąć większej ilości uczestników.

Od dłuższego już czasu prawo obywatelstwa w ZDK-ach zyskały sobie kółka fotograficzne i Amatorskie Kluby Filmowe. W gorlickim Domu Kultury pracuje „AKF Beskid" i może się poszczycić pięknymi osiągnięciami. Ma już w swym dorobku kilkanaście filmów krótkometrażowych. Za film „Pracujesz, wypoczywaj" amatorzy zdobyli I miejsce na przeglądzie filmu amatorskiego zorganizowanym przez Zw. Zaw. Górników w Katowicach i II miejsce na ogólnopolskim przeglądzie w Szczecinie. „AKF Beskid" wyprodukował również film „20 lat ziemi gorlickiej", cieszący się dużym zainteresowaniem w powiecie. Warto tego rodzaju działalność ZDK-ów uznać za jedną z wiodących i starać się o dostarczenie tym kółkom zainteresowań zarówno odpowiednich pomieszczeń, jak i sprzętu (co nie jest sprawą łatwą), by swym zasięgiem obejmowały więcej niż 7—10 osób. Może pomógłby coś w tej sytuacji apel do wytwórni filmów oświatowych i krótkometrażowych o przekazanie amatorom sprzętu wycofywanego z użycia?...

Szkoda, że nie dostrzegliśmy w tych placówkach — Dyskusyjnych Klubów Filmowych, które znakomicie popularyzują sztukę filmową, jeśli są dobrze zorganizowane i prowadzone. Ta forma jest obecnie bardzo pożyteczna ze względu na spadek frekwencji w kinach. Warto również pomyśleć o zorganizowaniu Dyskusyjnych Klubów Telewidzów pozwalających w sposób bardziej czynny i aktywny odbierać treści przekazywane przez TV. Nie dostrzegliśmy Kół Miłośników Teatru czy Sztuki.

* * *

Próby wyjścia z działalnością ZDK-ów do miejscowości zamieszkałych przez pracowników zakładów są w tym roku wyraźniejsze niż w latach poprzednich. Np. Zakładowy Dom Kultury Górnika Naftowca prowadzi szkolenie kierowników klubów „Ruch" i klubokawiarni rolnika, i służy stałą pomocą swoich instruktorów dla tych placówek. Zespoły artystyczne tego domu kultury będą odwiedzać Turaszówkę, Potok i inne miejscowości zamieszkałe przez górników. Zespoły Domu Kultury z Gorlic planują wyjazdy gościnne do wiejskich domów kultury w Łużnej i w Rzepienniku Suchym.

Jedynie najmłodszy z ZDK-ów na Podkarpaciu, dom kultury Hut Szkła nie zamierza rozszerzać swego oddziaływania na powiat, gdyż ma pełne ręce pracy w środowisku najbliższym. Kierownictwo chce nawiązać ścisły kontakt z młodzieżą szkoły przyzakładowej, która dotąd prawie nie słyszała o istnieniu tej placówki. Ponadto w osiedlu hutniczym wystąpiły ostatnio ostre objawy chuligaństwa wśród młodzieży. Pojawili się przywódcy po „poprawczakach" tworzący młodociane gangi. Młodzież dewastuje park przy ZDK-u, wybija szyby i niszczy sprzęt. Dom kultury zamierza rozładować złą atmosferę przez wciągnięcie młodych w orbitę swojego oddziaływania. Chce im umożliwić rozgrywki sportowe, wycieczki turystyczne i organizować wieczorki taneczne w klubie ZMS-u — „Szklanej Grocie". Ta elastyczność w działaniu i rozeznanie w bieżących potrzebach środowiska dobrze świadczy o związkach placówki z otoczeniem.

Ale wydaje mi się, że to wszystko nie wystarcza, że konieczne jest bardziej systematyczne rozszerzanie współpracy w zakresie artystycznej i oświatowej z okolicznymi miejscowościami — roztoczenie stałego patronatu nad nimi, zwłaszcza iż zarówno w Krośnie, jak i w Gorlicach nie ma powiatowych domów kultury. Należy im częściej organizować występy artystyczne, posyłać interesujących ludzi na spotkania czy ewentualnie przy pomocy Rady Zakładowej organizować środki komunikacyjne na ciekawe gościnne imprezy artystyczne w ZDK-ach.

Niewiele również wynikło na okres bieżący w programach tych ZDK-ów z porozumienia między Ministerstwem Kultury i Sztuki a GKKFiT w sprawie łączenie w placówkach k. o. działalności kulturalnej, sportowej i turystycznej. Jedynie dom kultury hutników przyjął nowego instruktora do spraw sportu i turystyki i zamierza systematycznie wykorzystywać

CIĄG DALSZY NA STR.

Maria Cecylia Guziołek

Ludzie ciekawi

Po prostu humanista

Pod numerem 15 pr ul. 1 Maja w Rzeszowie rozgości ę Państwowa Szkoła Muzyczna. en zadbany, chociaż nie ... różniający się niczym szczególnie budynek niejeden z renomowanych dziś muzyków wspomina zapewne z dużą serdecznością. Bo jakże można by inaczej?

Troski i radości związane z wdrażaniem się w arkana kapryśnej Polihymni dla wielu, bardzo wielu młodych ludzi zaczynały się tu. Przekraczali próg z marzeniem o wielkiej karierze, o estradach świata, o kwiatach, owacjach. Dziecięce, młodzieńcze miraże! Ilu małych i dużych tragedii musiało się tu rozegrać, gdy wkraczała proza życia, następowała konieczność uświadomienia sobie swych prawdziwych zdolności, możliwości artystycznych. Na pewno nie tak łatwo przyjmowali fakt, iż wykształcenie muzyczne pozwoli im jednak na pracę w wielu ogromnie atrakcyjnych dziedzinach, których z kolei będą im zazdrościli inni.

W znalezieniu uroków nieestradowo wirtuozowskich zawodów muzycznych przynosi dopiero pewna dojrzałość życiowa, potrzebny jest czas... I opiekun, wychowawca-przyjaciel.

Mgr Jan Wołowiec już 15 lat znajduje się w kierowniczej grupie tej szkoły. Jest ona jego drugim — zaryzykowałabym twierdzenie chyba bliższe prawdy — po prostu domem. Dziś jego współpracownikami w niemałym procencie są absolwenci tej szkoły. Pożegnali ją, aby skończyć średnią szkołę muzyczną i wyższe studia, ale powrócili. Pan dyrektor stał się dla nich kolegą-dyrektorem. I to jest wyrazem zaufania do człowieka, na którego wiedzę i doświadczenie mogą liczyć stawiając pierwsze samodzielne kroki. Na wyrozumiałość i pomoc też.

* * *

Trzeba bardzo lubić dzieci i dobrze znać tajniki ich małych serc i umysłów, by tak z nimi rozmawiać! Porozumienie z miejsca nieomal całkowite. Jak się do takich umiejętności dochodzi? — To zastanowienie ściągnęło moją — wówczas przypadkowego obserwatora — uwagę na człowieka, z którym później rozmawiałam nie raz, nie dwa. Był nim właśnie dyrektor Wołowiec. Nasze rozmowy na interesujące mnie tematy zwykle przekszałcały się w pełne pasji dyskusje o sztuce i człowieku. Chyba żadnej z nich nie dokończyliśmy...

W czasie tych rozmów odkryłam jednak impuls, który wyzwala energię na tak szeroką działalność artystyczną, jaką prowadzi, budzi wspomnianą łatwość porozumienia się z młodymi i najmłodszymi, pozwala na kierowanie dwiema placówkami szkolnymi, doszkalanie młodych kadr nauczycielskich i... o tym za chwilę.

Owym bodźcem jest humanizm, szacunek dla człowieka i sztuki, która to człowieka czyni szlachetnym i lepszym. Stąd właśnie jakieś bardzo szerokie traktowanie „spraw świata tego" — małych i wielkich, pewnego rodzaju zarzucanie podziału na błahostki, rzeczy mało ważne i problemy. Przecież w pryzmacie pojedynczego człowieka różne sprawy nabierają zupełnie swoistych wymiarów. Stąd też chyba wybór zawodu pedagoga o kierunku artystycznym.

Mgr Jan Wołowiec pochodzi spod Rzeszowa. Urodził się w Staroniwie. Obecnie ma na swym koncie 26 lat pracy zawodowej. Pracę magisterską obronił na Wydziale Pedagogicznym Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie, którą ukończył z odznaczeniem. Społeczne uznanie dokonanej pracy wyraża się m. in. przyznaniem już w 1965 r. Odznaki „Zasłużonego Działacza Kultury" i Srebrnego Krzyża Zasługi.

Konto obowiązków prócz dyrektorstwa Szkoły Muzycznej i Przedszkola Muzycznego jest przebogate. Przytoczę tylko niektóre: wiceprezes Towarzystwa Ognisk Artystycz- r ch, koordynator Okręgowego Zespołu Ośrodka Metodyczno-Programowego Szkolnictwa Artystycznego, przewodniczący Komisji d/s Muzycznych i Weryfikacji WDK itd. Za wszystkimi tytułami kryje się nie tyle zaszczytów, ile wiele mozolnej, bo jeszcze mało popularnej w naszym zmechanizowanym świecie — działalności i pracy.

Z ogromną pasją mgr Wołowiec traktuje amatorski ruch śpiewaczy. W zasadzie nie ma chóru, który by się nie spotkał z tym znakomitym kierownikiem zespołów wokalnych. W latach 1952—1955 prowadził chór WSK, od 1957 r. sztuki śpiewaczej uczy członków b. chóru Orkiestry Symfonicznej, tworzącego dziś samodzielne Towarzystwo Śpiewacze „Orfeusz". Równolegle prowadzi chór Związku Nauczycielstwa Polskiego w Rzeszowie i marzy — podobno to marzenie wcale realne — o utworzeniu chóru chłopięcego, by wychować zespół dla Filharmonii, kiedy ta będzie mogła w pełni rozwinąć działalność artystyczną w nowej, jakże reprezentacyjnie zaprojektowanej siedzibie.

Rozśpiewać młodzież, pozwolić śpiewać dorosłym dla relaksu i dla pobudzenia zainteresowań artystycznych — to jego dewiza.

Ale najciekawszym eksperymentem prowadzonym przez naszego popularyzatora Polihymni jest przedszkole muzyczne dla prawdziwych maluchów, dzieci w wieku 5 i 7 lat. Przedszkole, jako jedno z nielicznych w kraju (jest ich bodajże 5) działa już trzeci rok i zdaje świetnie egzamin. Sprawdziło się, że dzieci lubią muzykować i szybko opanowują materiał programowy, lepiej rozwijają się intelektualnie. 80 procent z uczęszczających do przedszkola staje się uczniami szkół muzycznych. Reszta to rozmiłowani w śpiewie i w grze przyszli melomani, propagatorzy muzyki.

* * *

Jan Wołowiec ma dwóch synów: Andrzeja i Stanisława. Żaden nie poszedł śladami ojca. I chyba im nikt się nie dziwi. Rzadko kto chce sobie narzucić tak ogromną dyscyplinę wewnętrzną, bez której osiągnięcia pedagoga-dyrektora-społecznika i krzewiciela muzyki nie byłyby do pomyślenia. Jestem jednak pewna, że przydomek „ostatni Mohikanin popularyzatorów muzykowania" — wprost natarczywie nasuwający się dziś, jutro będzie nieaktualny. Tę pasję na pewno podejmie niejeden z wychowanków zdumiewającego pedagoga.

Wspomnienia weterana

POLAK KOMUNISTA

Jan Romańczuk urodził się 20 XII 1897 r. w Bończy, powiat krasnystawski, w rodzinie fornalskiej. Z zawodu kowal. W 1915 r. wyjechał wraz z rodziną do Rosji, od 1916 r. służył w armii, a następnie pracował w fabryce wojskowej koło Homla, gdzie uczestniczył w walkach lutowych 1917 r., a następnie, w dniach Rewolucji Październikowej, w walkach o ustanowienie władzy radzieckiej. Po opanowaniu tych terenów przez Niemców i hajdamaków brał udział w ruchu partyzanckim. Schwytany — został bestialsko skatowany i okaleczony. Powrócił do kraju w 1919 r. w strony rodzinne, pracował jako kowal. Był od 1926 r. członkiem KPP, kilkakrotnie aresztowany. Po wyzwoleniu wstąpił w 1947 r. do PPR, był pracownikiem POM-u, członkiem Komitetu Powiatowego PZPR w Chełmie. Od 1958 r. na emeryturze. Wspomnienie napisane w 1956 r.

POWRÓT Z TAMTEGO ŚWIATA

W czasie pierwszej wojny światowej w 1915 roku wyjechałem z rodziną w głąb Rosji. W 1916 pobrano mnie, 18-letniego, do wojska.

Pracowałem w wojskowej fabryce Nowobielica koło Homla. Pamiętam dzień rewolucji w 1917 roku. W naszym baraku zaczęły się szmery, że już cara nie ma. Myślałem: jak my bez niego będziemy żyli? Na drugi dzień zjawili się u nas żołnierze z innych jednostek i powiedzieli: — Rebiata, bieriom orużje w ruki (chłopaki, bierzemy broń do rąk). Zorganizowaliśmy się i wyszliśmy wszyscy w kierunku Homla. Gdy dochodziliśmy do miasta, przed mostem oczekiwali nas żołnierze. Złączyliśmy się razem i zaczęliśmy rozbrajać carskich żandarmów i junkrów, podeszliśmy do więzienia, wypuściliśmy aresztowanych na wolność, padały okrzyki na cześć rewolucji.

Na początku 1918 r. Niemcy wkroczyli na Białoruś i Ukrainę. W tym czasie rządzili, pod opieką Niemca, hetman Skoropadski i Petlura. Pamiętam, jak prześladowali czerwonogwardzistów i wiele, wiele było rozstrzelanych. W tymże czasie działała podziemna komunistyczna partia na terenie Homla. W fabryce w Nowobielicy, gdzie pracowałem, też powstała. Należałem do niej i ja, pomimo że nie miałem pojęcia, co to znaczy komunistyczna partia. Kiedy w Niemczech nastąpił przewrót i Wilhelm zleciał z tronu, Niemcy szykowali się do opuszczenia Rosji. Bolszewicy zbliżali się do nas i podziemna komunistyczna partia zaczęła organizować oddziały na pomoc nadchodzącym bolszewikom. W grudniu 1918 roku rozbrajaliśmy hajdamaków po folwarkach, gdyż w tym czasie obszarnicy trzymali po kilkanastu ludzi, tak zwanych hajdamaków, dla obrony. Na początku nikt im krzywdy nie robił z naszej strony, tylko odbierano broń.

Pamiętam datę 18 grudnia 1918 r. Wyjeżdżając wieczorem z folwarku Fiodorowka, należącego do dziedzica Kanachowicza, nasz oddział wracał z powrotem do swej fabryki. Jechaliśmy na saniach chłopskich, po trzech ludzi na każdych. Kiedy wydostaliśmy się na szosę idącą do Homla, naprzeciw nas zjawiła się biała gwardia Skoropadskiego. Większości towarzyszy udało się zbiec. Nas pięciu schwytano, zabrano nam broń, zrobiono rewizję po kieszeniach. Znaleziono ulotki i odezwy. Zaczęto nas okrutnie bić nahajami po głowach, pistoletami po twarzy. Jeden z towarzyszy miał pierścień, zwykły miedziany, na palcu. Oni myśleli, że złoty i chcieli palec odrąbać bagnetem (gdyż nie mogli szybko zdjąć pierścienia, towarzysz prosił, że sam zdejmie, no i zdjął razem ze skórą, bo palce były. zmarznięte.

Biegiem, z rękami do góry pędzono nas parę kilometrów, bito nahajami, a potem kazano zatrzymać się. Dowódca — pamiętam — dał rozkaz: rozstrzelać! Ustawiono na brzegu szosy 4 moich towarzyszy i kazano im patrzeć w stronę lasu. Mnie postawili obok, wzięli mnie za oficera, bo miałem ładniejszy płaszcz i buty. Kiedy towarzysze tak stali i czekali na swą śmierć, jeden spośród białej gwardii odezwał się, że strzelać nie warto, trzeba z nimi skończyć w cichy sposób. Kilku hajdamaków zaczęło bić kolbami po głowach moich towarzyszy, a kiedy ci wpadli do rowu, dowódca kazał kłuć bagnetami. Pamiętam jeszcze jego słowa — my was wsiech kak sobak wybijem, my wam pokażem roboczuju włast.

Kiedy zabili towarzyszy, ruszyli dalej, zabierając mnie, rzekomego oficera, ze sobą. Zaczęli mnie wypytywać. Jeden z nich poznając po mowie zwrócił się do mnie po polsku — zdaje się, że jesteś Polakiem. Mówię: tak, jestem Polak z Chełmskiego. Zaczął mi wymyślać, pytając, dlaczego nie poszedłem do legionów. Obok na saniach przejeżdżała w futrze jakaś dziedziczka. Spytała go, co ja za jeden. Ów Polak odpowiedział jej, że to komunista. Czterech — powiada — pokłuliśmy, a jeden się jeszcze został — wskazał na mnie palcem. Kobieta kazała mi usiąść na saniach. We mnie wstąpiła iskra nadziei, że jak tu są Polacy, to może zostanę żywy. Ale i ta kobieta, kiedy usiadłem na saniach, nawymyślała mi od rozmaitych, i zrozumiałem, że będzie ze mną niedobrze, tylko nie wiedziałem, na czym to się skończy.

Postulaty i warunki

(Ciąg dalszy ze str. 1)

formy sportowo-turystyczne do pracy kulturalnej. Nie chcę się tu szerzej rozpisywać o korzyściach płynących z takiego mariażu, ale są one bezsporne.

U naftowców kierownictwo zapowiada ścisłą współpracę w tej dziedzinie z klubem sportowym „Karpaty" (na razie jednak bliżej nieokreśloną) oraz współdziałanie swoich instruktorów z placówkami k. o. na wsi w organizowaniu tzw. „zielonych świetlic", czyli imprez kulturalno-rozrywkowych czy turystycznych na wolnym powietrzu. Dom Kultury w Gorlicach deklaruje w tym zakresie wspólne działanie TKKF i organizowanie imprez sportowych. Należy jednak pamiętać, że sport i turystyka w placówkach kulturalnych muszą mieć inny nieco charakter i znacznie szerszy cel niż w klubach sportowych.

* * *

Można by sporo zarzucić wymienionym tu placówkom kulturalnym, jeśli chodzi o zasięg oddziaływania — można by zaproponować dużo więcej nowych form, ale trzeba być realistą. Te domy kultury mają bardzo trudne warunki lokalowe, z roku na rok zresztą pogarszające się.

Dom Kultury Naftowców mieści w swoim gmachu kilka sklepów zajmujących połowę parteru, Zarząd Podokręgu Związku Narciarstwa Polskiego oraz Zarząd Okręgu Zw. Zaw. Górników. Wynika stąd, że około 40 proc. powierzchni lokalowej ZDK zajmują lokatorzy niewiele mający wspólnego z działalnością kulturalną. Jeszcze drastyczniej przedstawiają się trudności lokalowe w gorlickim Domu Kultury. Ten olbrzymi gmach, kiedyś straszący pustką, budowany w okresie tzw. „fasadowości życia" został dziś zagęszczony do maksimum. Czegoż tu nie ma — i Zasadnicza Szkoła Gastronomiczna, i Wieczorowe Technikum Mechaniczne, i siódma klasa dla pracujących; jeszcze punkt konsultacyjny Politechniki Krakowskiej oraz punkt konsultacyjny WSI z Rzeszowa. Tu mieszczą się kursy kwalifikowanego robotnika, kursy mistrzowskie i biblioteka techniczna zakładów. To dobrze, iż przy zakładach pracuje tyle szkół i kursów, ale to bardzo źle, iż wszystkie zlokalizowano w domu kultury. Ciasnota daje się kierownictwu placówki odczuć tak mocno, iż salę telewizyjną z konieczności urządzono w pięknym foyer sali teatralnej psując zupełnie wystrój architektoniczny wnętrza. A przecież wiadomo, iż w związku z wielką rozbudową Fabryki Maszyn i Sprzętu Wiertniczego i Rafinerii Nafty wzrosła gwałtownie liczba pracowników obu zakładów, no i liczba mieszkańców miasta, które zresztą wkrótce ma osiągnąć 20 tys. mieszkańców i nie posiada żadnej innej masowej placówki kulturalnej. Czy w tych warunkach można żądać szerokiej działalności i wielu form działania?

We wszystkich domach kultury, które oglądaliśmy, za mało jest również nowoczesnego sprzętu audiowizualnego, a istniejący jest mało sprawny.

Brak dobrych mikrofonów, głośników wysokiej jakości — za mało magnetofonów, adapterów, instrumenty muzyczne często rozstrojone lub zużyte. Jeśli praca ZDK-ów ma osiągnąć należny nowoczesny poziom i rozmach, jeśli ma wykroczyć swoją działalnością poza zakład pracy należy bezwzględnie dążyć do wykwaterowania wszystkich zbędnych lokatorów i zapewnić tym placówkom odpowiednią bazę materialną.

Na pewno trzeba wysunąć pewne postulaty pod adresem programów zakładowych placówek k. o. na Podkarpaciu na bieżący rok pracy kulturalno-oświatowej (a starałem się to uczynić), lecz równocześnie należy stwierdzić, iż mimo wszystko są to placówki tętniące życiem oraz pamiętać, iż żądania nowych form i rozszerzenia zasięgu działania winny iść w parze z konkretną pomocą i poprawą warunków pracy. Dopiero wtedy można będzie ich osiągnięcia porównywać z sukcesami ZDK-ów w Stalowej Woli czy Mielcu.

JAN GRYGIEL

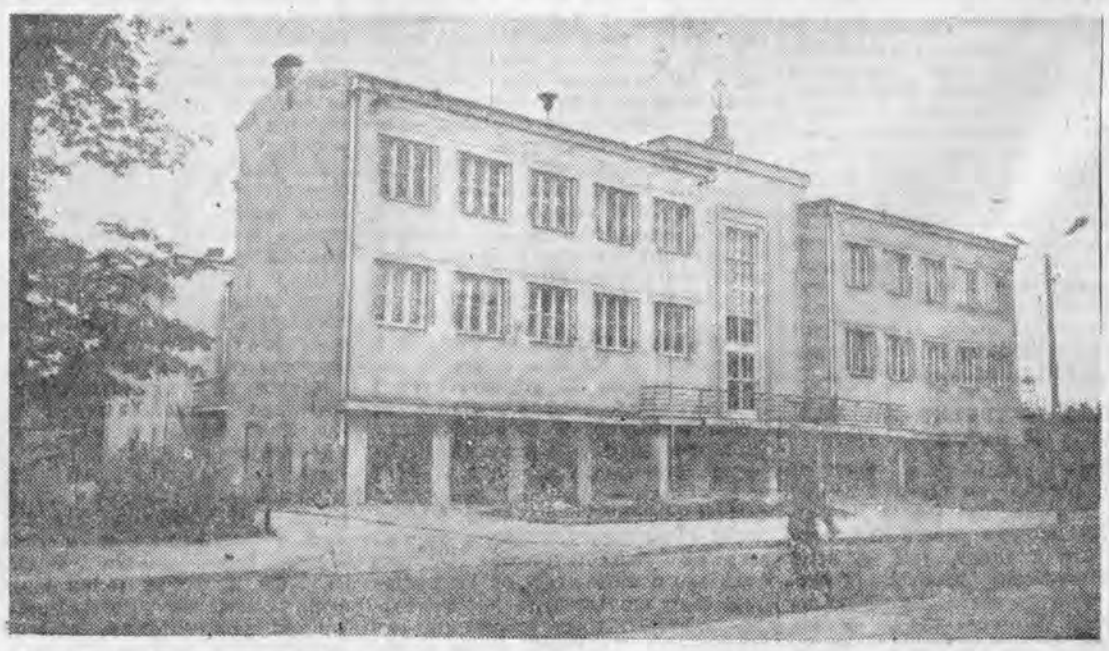

ZDK Górnika-Naftowca w Krośnie *Fot. M. KOPEĆ*

Rewolucji

Niedługo było tej jazdy i kazano mi zejść z sani. Przejeżdżała cała armia białogwardzistów. Koło mnie zostało kilku. Zdjęto ze mnie buty i płaszcz, postawiono mnie na brzegu szosy i kazano patrzeć w las. Przykro było widzieć swoją śmierć. Wiedziałem, że zrobią to samo, co i z towarzyszami. Poza tym nic nie pamiętam. Wydawało mi się, że niby żyję, lecz nie mogłem się podnieść. Wreszcie ocknąłem się naprawdę, wstałem, śnieg osypał się ze mnie, poczułem, że jestem bosy i bez płaszcza. Krew na głowie i piersiach miałem zastygłą, na jedno oko prawie nie widziałem, rozbite było kolbą. Wylazłem z rowu na szosę i nie mogłem się zorientować, w jakim kierunku uciekać.

A była to noc. Na szczęście nadjechał jakiś woźnica saniami i wskazał mi kierunek w stronę Homla, nie pytając mnie o nic. Puściłem się biegiem, bo zimno mi było w nogi. Myślałem nawet zdjąć z zabitych towarzyszy buty i odzienie. Ale nie mogłem ich dojrzeć, ponieważ zostali przysypani śniegiem. Więc biegłem dalej. Wreszcie z sił opadłem, usiadłem przy szosie, wziąłem bryłkę śniegu, złapałem powietrza i biegłem dalej. Przybiegłem do kwatery, gdzie mieszkałem. Jak się później okazało, przebiegłem 20 kilometrów. Kiedy otworzono mi drzwi i wszedłem do mieszkania, nie czułem już zimna w nogach, tupałem jakbym był w butach. Gospodarz domu zaświecił światło, popatrzył na moje nogi i krzyknął do żony: — Fiokła, podaj chołodnuju wodu i staw samowar. Włożyli mi nogi do zimnej wody, posłali po lekarza i zrobili opatrunek. Bardzo się trząsłem z zimna. Odwieziono mnie do szpitala.

Nie pamiętam jak wieziono, pamiętam tylko, że kiedy w szpitalu włożono mnie do wanny, również się trząsłem. Zszyto mi rany na głowie, nad prawym okiem i położono do łóżka.

Leżałem bez pamięci. Po dwóch dniach — nie pamiętam dobrze — przyszli mnie odwiedzić towarzysze i opowiedzieli, że z tych towarzyszy, którzy byli razem ze mną pojmani, dwóch zostało żywych. Byli przekłuci bagnetami na wskroś i przewieziono ich do innego szpitala, a dwóch zostało zabitych. Jeden był sześć, a drugi siedem razy przekłuty. Powiedzieli mi, że w najbliższych dniach odbędzie się pogrzeb, który przejdzie koło szpitala na cmentarz.

W dzień pogrzebu powiadomili mnie, że pochód pogrzebowy już wyruszył, że biorą w nim udział wszystkie prawie fabryki. Za chwilę usłyszałem orkiestrę. Grała marsza żałobnego. Zebrałem siły, wstałem z łóżka i stanąłem w oknie. Szli robotnicy z innych fabryk, następnie z fabryki, w której ja pracowałem, nieśli dwie trumny okryte wieńcami. Śpiewali — Wy żertwoju pali w borbie rokowoj. Gdy ujrzeli mnie w oknie, machali do mnie czapkami — i w tej chwili zemdlałem.

Lekarz przyszedł z pomocą.

Po kilku dniach telefonował Waśka z drugiego szpitala. Pytał, jak moje nogi. Odpowiedziałem, że nogi w porządku, tylko skóra zeszła i prawe oko wybite. Spytałem, jak jego zdrowie. Odpowiedział, że rychło wyzdrowieje i pójdzie znów bić się z wrogiem. Słowa dotrzymał. Bił się pod Kijowem z petlurowcami i znów został ranny. Ja zaś po wyleczeniu się i po operacji pracowałem nadal w fabryce. W roku 1919, w lipcu, zatęskniłem za rodziną i przyjechałem do Polski.

Rzeszowskie spotkania teatrów robotniczych — imprezą ogólnopolską

Posiadająca już w Rzeszowie tradycję impreza „Teatry robotnicze — ludziom pracy", będąca przeglądem osiągnięć związkowego amatorskiego ruchu teatralnego staraniem Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych i przy akceptacji CRZZ obejmie swym zasięgiem teren całego kraju. V jubileuszowe spotkania jako już ogólnopolskie odbędą się w kwietniu przyszłego roku w Stalowej Woli.

Organizatorzy zakładają, że oprócz występów czołowych zespołów krajowych odbędą się także spotkania z ludźmi teatru, specjalistyczne seminaria dla instruktorów teatralnych z placówek związkowych woj. rzeszowskiego i wojewódzkich ośrodków instrukcyjno-metodycznych z całej Polski. Przewiduje się również występy uczestniczących w przeglądzie zespołów w ośrodkach robotniczych naszego województwa. W tym wypadku chodzi o nawiązanie ściślejszej współpracy placówek oświatowych i wymianę doświadczeń, a także popularyzację walorów turystycznych i regionalnych Rzeszowszczyzny.

(stanski)

Edmund Gajewski

Rumuńskie lato

Reminiscencje liryczne

Wytarłem stare znajome kąty, przewędrowałem piękne nowe dzielnice — „Paryża Wschodu". Upał wygania z rozpalonych bruków Bukaresztu. Noc nie przynosi ulgi.

„Oby zasnąć wcześniej
w noc zapomnienia
Żeby moje myśli w milczeniu
poniosły mnie na brzeg morza"

Nie ufajcie cyfrom. Skrzywiają naszą prawdę. Mamaia w dzień to niebo bez dna, morze bez końca, słońce jak olbrzymi bochen chleba. To zaspokojona tęsknota człowieka by zbliżyć niebo i ziemię. To poezja corbusierowskiej wizji — architektura raju bez grzechów pierworodnych.

tu nie istnieje. A jednak jest bezwzględny. Za kilka lat buldożery przeorzą małe domki, miniaturowe ogródki, niepozorne uliczki. Między Konstancą a Mamaia wyrosną nowe dzielnice. Chelpliwe, bliżej nieba — wieże Babel.

A tak lubiłem błąkać się po tych

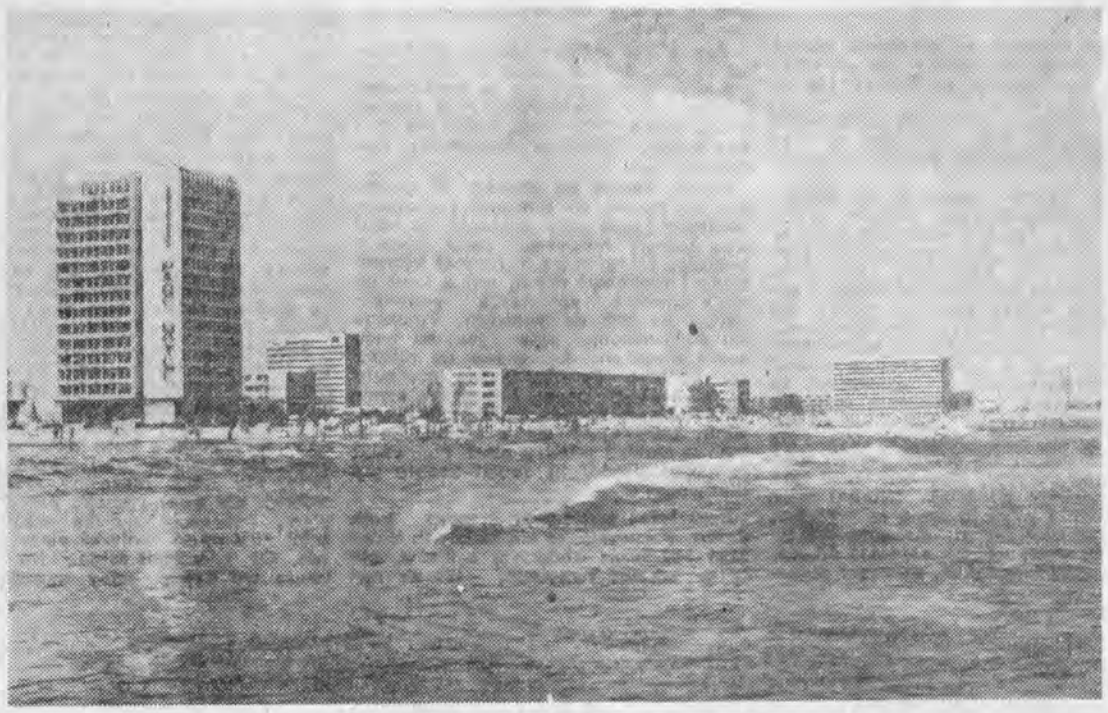

Mieszkam na niepozornej uliczce o wdzięcznym imieniu Krystynka. Nie dochodzi tu oddech morza ani wrzaskliwy blichtr modnego kurortu. Błogosławione uliczki przywróconej ciszy.

Absurd! Po co tu jestem?

* * *

Dziesięć lat! Szmat czasu dla człowieka, a tak niewiele dla murów. Może nie warto szukać czasu, który odszedł. Konfrontacje... to jednak sprawa ludzi.

Nie poznałem Mamai — jest piękna! Piękno jest obietnicą szczęścia. Tylko obietnicą!

* * *

Przyglądałem się galaretowatym meduzom wyrzucanym przez morze na plaży. Patrzyłem na „morskie kotki", „pływające — patelnie" w akwarium Konstancy.

Nie wierzcie abstrakcjonistom. Są realistami!

* * *

Mamaia! — 20 tysięcy wczasowiczów, 20 komfortowych hoteli, 20 wytwornych lokali, 15 km piaszczystej plaży, letni teatr, ośrodek sportów wodnych...

Mamaia w nocy, to gejzery gwiazd, tryskające z nieba na ziemię i z ziemi do nieba.

W Mamai wierzę jak Delacroix: „Najprawdziwsze są we mnie złudzenia, które tworzę swoim malarstwem. Reszta to ulotny piasek".

P. S. Piasek Mamai jest szary. Próżność czy egoizm artysty, który stworzył tu najbardziej kolorowy świat?

* * *

Na wschodzie girlandy świateł Mamai, na zachodzie Konstancy. Na mojej niepozornej ulicy o wdzięcznym imieniu Krystynka, na wszystkich niepozornych uliczkach w skąpym świetle lamp małe domki schowały się w miniaturowych ogródkach. Na chodnikach stare Cyganki rozsiadły się po turecku i zastygły w niemej kontemplacji. „Kamienne baby" patrzą wzrokiem pustym w przestrzeń.

Na progu chodników Cyganie raczą się „cujką" — wódką z grona. Na środku ulicy tańczy młoda dziewczyna śpiewając o miłości.

Życie tu jak na dłoni. Na tych uliczkach biada zegarmistrzom. Czas

zapomnianych przez Boga uliczkach.

* * *

W nocy dręczyły mnie sny. Może zawinił twardy jak kamień „rzymski podgłówek"; gdzie mu do polskiego „jaśka". A może napór wrażeń?

Z woli imperatora Augusta skazany zostałem na wygnanie do rzymskiej kolonii Tomis. Miasto sprawiało wrażenie wymarłego jak po trzęsieniu ziemi. Tylko nieśmiertelny Owidiusz, wrażliwy śpiewak sztuki miłości — żył. Na kamiennych cokołach powtarzały się niezrozumiane dla mnie napisy: O, tu, ce treu peai ca doc-oi ubit vreodota...

Nie rozumiem i nie mogę zrozumieć.

„I Ty, który przyjdziesz tutaj, jeśli kochałeś kiedykolwiek...".

Miłość — to ton właściwy. Klucz od wszystkich rzeczy. Zrozumiałem!

* * *

— 140 km na godzinę — zawyrokował ktoś kompetentny.

Na moje nieme pytanie napotkany przypadkowo listonosz stwierdził lakonicznie:

— Delegacion Germany.

Na autostradzie mignęła kawalkada czarnych mercedesów. Tylko w uszach pozostał nieznośny gwizd powietrza.

Nazajutrz na plaży znajomy lekarz z Poznania uskarżał się, że tej nocy nie można było spać. Niemcy z NRF „wylewnie" i hałaśliwie, wyrażali swoje nastroje z okazji tej wizyty.

Po południu wędrowałem, jak się to mówi na wariata, pod wieczór znalazłem się nad brzegiem morza. Nie było tu piaszczystej plaży, wytwornych hoteli ani kunsztownych mozaik. Spienione fale rozbijały się o poszarpane skały.

Zionęło pustką. Tylko trzech zapalonych amatorów wędkarstwa ciskało daleko w morze przynęty, utrzymując żyłkę na palcu ręki, gotowi reagować na każde branie ryby. W różnych odstępach czasu mijał nas żołnierz straży pogranicznej, odmierzając swój codzienny odcinek.

Niebo pochyliło się nad morzem, zapadał zmrok. Trzeba wracać. Pobłądziłem. Kikuty potężnych żelbetonowych umocnień ostatniej wojny zagrodziły mi drogę. Po zwałach betonu i stali rozpoczęły swój koszmarny taniec — cienie. To w Mamai zapłonęły neony i światła nadbrzeża zataczającego tu łuk, przeglądały się w wodzie.

Może cienie ostrzegają żywych? Nie potrafię odpowiedzieć. — Nie!

* * *

Poznałem dziewczynę o granatowych włosach, spadających na ramiona, o twarzy z rzeźby greckiej, jak śpiewała, świat zaczynał wibrować. Przedstawiono mi blondynkę o urodzie i wdzięku warszawianki; gdy uderzyła w klawisze pianina zdawało się, że ptaki zatrzymają swój lot. Zaprzyjaźniłem się z lekarzem internistą, po pracy z kolorowych kamyków wyczarowywał mozaiki o kolorach subtelniejszych niż pyłek na skrzydłach motyli.

Dziś wybrałem się na plażę z moim sąsiadem, jest robotnikiem w stoczni. Z kąpieli wróciłem, gdy kończył płaskorzeźbę kobiety wymodelowaną w piasku.

Gdy myślę o człowieku, to myślę o sztuce, gdy myślę o sztuce, myślę o człowieku.

Może w jaskiniach sztuka pojawiła się wcześniej niż ogień.

* * *

— „Zapomniałeś moje oczy..." Na czarnomorskiej plaży plątą się melodia „Opola". Na wilgotnym piasku smagle dziewczęta kreślą bezwiednie serca. Serce jest kształtem miłości.

Byłaś?

...Jesteś bursztynowa!

Soczyste są owoce, które dojrzewają w tym słońcu.

* * *

Gdy pustoszeją plaże, wyludniają się hotele modnych kurortów, to znak, że odchodzi lato. Smutne są „metropolie lata" po sezonie. Cmentarze przelotnych wzruszeń — popiół życia.

La rewedere Mamaia. Nie wypiłem napojów twego lata do dna. Nie znoszę cmentarzy. W moim kraju jesień jest złota.

Tylko Ty Złota... to rozumiesz!

Irena Pitula — Rożniatowska

Co począć z Sienkiewiczem? Czyli „Ta trzecia" - na scenie

W Teatrze „Fredreum" widownia bawi się znakomicie na przedstawieniu „Tej trzeciej". Widownia świetnie odbiera sienkiewiczowski dowcip, którego nie zdołała zniweczyć adaptacja p. Zbigniewa Wróblewskiego. Powstał więc w tej adaptacji szkielet wątku i co jeszcze? Chyba — nic. Ogólnie wiadomo, że nowela Sienkiewicza: „Ta trzecia" nie należy do arcydzieł nowelistyki znakomitego pisarza. Można mieć zastrzeżenia do kompozycji noweli, do tych, czy innych elementów strukturalnych, niepodobna jednak nie dostrzec w niej sienkiewiczowskiego mistrzostwa w konstruowaniu postaci i sienkiewiczowskiego (może mniej świetnego niż w innych utworach), ale mimo to pięknego języka.

Nowela (zgodnie zresztą z konwencją tego gatunku) nie jest wybitnie głęboka intelektualnie, niemniej jednak zawiera w partiach narracyjnych jakąś refleksyjność, zadumę nad toczącymi się dziwnie ludzkimi sprawami, nad przypadkowością losów i kaprysami fortuny. I to chyba stanowi największy urok tej prozy. Adaptacja eksponująca dialog i (niestety „przerabiająca" narrację na dialog) odziera utwór z tego, co w nim najpiękniejsze. Nie ma więc nastroju owej uroczej nieco melancholijnej zadumy w dramaturgii adaptatora.

Trudno. Można nie mieć pretensji o to czego nie ma, czego nie udało się przenieść z noweli do adaptacji scenicznej. W najlepszych adaptacjach epiki autor jest mniej lub więcej pokrzywdzony.

Bardziej denerwuje i drażni to co jest. A jest niestety i to, czego Sienkiewicz nigdy nie napisał. Przykład: rozmowa malarza — Magórskiego z aktorką — Ewą Adami. Pan Sienkiewicz napisał tak:

„— Widzisz, jakaś niedobra, raz mało nie zakochałem się w tobie! Co za mimoza z tej Ewy! Usłyszawszy to mieni się, opiera łokcie na stole (cudo nie łokcie), bierze w dłonie swoją bladą twarz i pyta:

— Kiedy to było?".*)

Pan Wróblewski zaś następująco:

„Magórski: (w postawie grzesznika z żałosną miną). Widzisz jakaś niedobra, a ja raz kochałem się w tobie.

Ewa: Wstań kochanie. Szkoda podni. Kantów i tak nie ma, ale kolana powypychasz. A w sprawie ego kochania, drobne pytanie — kiedy to było?

Dzięki takim adaptacyjnym zabiegom — sienkiewiczowska Ewa-mimoza, „która weszła do teatru, a pozostała czystą, w całym znaczeniu tego słowa" — zmienia się w adaptacji w jakąś dość swobodną współczesną dziewczynę, typ dzisiejszego „morowego kumpla".

Dla większego uwspółcześnienia bohaterki, twórca omawianej dramaturgii każe (w didaskaliach) Ewie głaskać swego partnera po głowie, obojgu trzymać się za ręce etc. Wyraźnie przekroczone pewne granice tego, co wolno twórcy adaptacji. Posiekanie utworu na mikroscenki odbiera sens sceniczny tej dramaturgii.

Cóż, Sienkiewicz nie ma szczęścia do adaptacji. Teatry chcąc uczcić (z pewnym opóźnieniem) rocznicę — nie mają wyboru. Ostatecznie lepiej wziąć na warsztat złą adaptację „Tej trzeciej" niż zły bryk (przepraszam) — adaptację „Ogniem i mieczem". Widownia więc, jak się powiedziało na wstępie — bawi się znakomicie. Na przedstawieniu, które oglądałam — na sali przeważnie młodzież. Na scenie również młodzi dość na ogół zdolni i interesujący debiutanci. Dość dużą swobodą odznaczają się wykonawcy ról: Władysława Magórskiego (Andrzej Sidorów) i Antoniego Świateckiego (Adam Smuk). Trudność zasadniczą mieli jednak wszyscy młodzi odtwórcy świata malarzy. Nie dotarli do atmosfery cyganerii artystycznej z czasów Sienkiewicza. Atmosfera, którą stworzyli bliższa była dzisiejszej studenckiej piwnicy. Dobrze, że dojrzalszy amator (Zbigniew Stypułkowski) prezentuje Karola Ostrzyńskiego, odróżniając się sposobem bycia ustabilizowanego redaktora od nerwowej głodującej cyganerii.

Buntowniczemu światkowi cyganerii przeciwstawiają środowisko mieszczańskich filistrów Susłowscy (Janina Wierzbicka i Stefan Żółtowski). Trzy młode kobiety w adaptacji stają się raczej drugoplanowymi postaciami. Tak więc zarówno Krystyna Steblińska, kreująca Ewę Adami, jak i odtwórczyni roli Heleny Kołczanowskiej (Celina Haliszczak) nie mają wiele pola do popisu. Kazię Susłowską, na przedstawieniu, które oglądałam gra z wdziękiem Teresa Geneja (rolę tę gra również Halina Michalewska).

Reżyserka (Irena Genejowa) poszła za koncepcją twórcy adaptacji, wysuwając na plan pierwszy nie tyle psychologiczne zagadnienie „Tych trzecich", ile konflikt dwu środowisk.

Scenografia Władysława Genei — funkcjonalna. Uproszczenia zmieniane szybko, przystawki ratują ów poszarpany dramaturgicznie tekst.

*) Henryk Sienkiewicz, Wybór nowel: Nasza Biblioteka Ossolineum w 1956 r. str. 347.

JAN ŁYSAKOWSKI

STRAŻNICA W GÓRACH

(Ciąg dalszy z n-ru poprzedniego)

U dowódcy pali się światło. Siedzi tam obok Wolaka Piegdoń, Browarek i Chrobot.

Zebrałem was tu, bo chcę się poradzić w jednej sprawie — mówi porucznik — jest propozycja wysłania człowieka do baonu. Jak wiecie, już pewien czas nie mamy łączności. Położenie nasze znacie. Jest ciężkie. Co wy na to?

— Projekt dobry — mruczy Chrobot — wielki czas dać znać co się z nami dzieje. Siedzimy jak borsuki w norze...

— Jak to zrobić?

— Bardzo łatwo — odezwał się Piegdoń — u nas są chłopcy, co mówią po tutejszemu. Przebrać za chłopa i niech idzie.

— Dobra myśl — ożywia się Browarek — inaczej przepadniemy.

Wolak namyśla się chwilę.

— Dobrze — mówi — zgadzam się. Znajdźcie odpowiednich kandydatów. Dwóch, trzech. Jutro pogadam z nimi.

Wolak odczekał aż sierżanci wyszli i patrzy na Piegdonia.

— Cholera, człowiek cały dzień chodzi i ma uczucie, że nie dopatrzył czegoś ważnego, że zapomniał. Diabeł wie, skąd to się bierze.

— Nerwy.

— Daj tego samogonu. Po jednym to nawet dobrze nam zrobi.

Wypili, zagryźli czarnym chlebem.

— No, idę spać — mówi Wolak — ty dyżuruj do pierwszej. Potem ja. Posterunki sprawdzaj co godzinę, a nawet częściej.

— No, to na drugą nogę.

— Nie za dużo?

— Coś ty, dziecko? Zresztą, czas niespokojny, co dziś wypijesz to na pewno twoje.

— Śmierdzi trochę ta twoja filozofia — mruczy Wolak ściągając buty — ale dziś nie mam siły z tobą dyskutować.

— Więc jesteś przekonany.

Wolak już usypiał, gdy nagle usłyszał podniecony głos Piegdonia. Tamten stał koło łóżka i wykrzykiwał.

— Człowieku! Musimy zdobyć patefon. Koniecznie!

— Po jaką nagłą cholerę?

— Wyobraź sobie: stoi na stole, nakręcamy sprężynę i puszczamy płytę. Słyszysz najpiękniejszy głos. Uwielbiam muzykę. Wolak już nie słucha. Przewraca się na drugi bok, naciąga koc na głowę. Za chwilę zasypia twardym snem. Ale o pierwszej, gdy Piegdoń tylko dotknął jego ramienia, podnosi głowę i pyta przytomnie:

— Czas?

— Tak.

Noc ciekła powoli, nudnie, rozwlekle. Wolak siedział wpatrzony w kaganek podpierając rękami ociężałą, skołataną głowę. Wzmagał się w niej szum i ból. Chwilami wstrząsały nim dreszcze. Jednak co godzinę wstawał, nakładał pelerynę i ruszał w ciemność. Grzązł w rozmokłej glinie, potykał się o rozgrzebaną ziemię. Właził de mokrych dołów i razem z wartownikami wpatrywał się w mrok. Nad polami leżała czarna przepaść. W zmęczonych oczach ludzi tańczyły ogniste plamy. Mówili mało, urywanym szeptem. Coś czaiło się w mroku. Niespokojność kołatała w sercach, kłębem dławiła w gardłach. Świt wschodził niechętnie, jakby z obrzydzeniem do świata. Szarość poranku oświetlała stłamszone twarze, podkrążone oczy. Wolak wstał, przeciągnął się z ziewnięciem. Podszedł do drzwi, by zawołać łącznika. I wtedy właśnie, w szarości świtu, w oparach wilgoci od strumyka trzasnęły pierwsze strzały. Porucznik znieruchomiał zamieniony w słuch. Tymczasem serie rozdarły powietrze, jazgotliwym terkotem płoszyły niedawną ciszę.

— Piegdoń! — szarpnął porucznika, zdarł z gwoździa swój automat i wyskoczył za drzwi. Z ziemianek biegli już ludzie. Nad podwórzem ostro gwizdało.

. . . . . .

Drugi atak zapowiadał się ciężej. Banderowcy przebiegali między chałupami, roili się na wzgórzu za drogą. Inni pełzli rowem. Dzień już się zrobił zupełny. Wiatr przepędził grubsze chmury i widać było od czasu do czasu biały krąg słońca. Wolak oderwał wzrok od strzelnicy i usiadł na pryczy.

— Ile taśm? — zapytał kaprala.

— Dwie i kawałek trzeciej... Pięćdziesiąt sztuk...

— Granaty?

— Jeden...

W drzwiach pokazał się Piegdoń.

— Erkaem Sowy zepsuty — powiedział — od jaru nie ma broni maszynowej...

— Przesuń ze trzech fizylierów...

— Ba... Wystarczy?

— Zapal... — Wolak podsunął pudełko z machorką. — Browarek!

— Jestem...

— Jak tam ranni?

— Wszyscy opatrzeni... Na razie w porządku...

— Dobrze... No, idziemy, dowódco — pociągnął Piegdonia za rękaw — nie czas na siedzenie...

Szli okopem kolejno od ziemianki do ziemianki.

— No, chłopcy — porucznik starał się utrzymać żartobliwy ton — trzymajcie się... Trzeba im wlepić jak za pierwszym razem...

Na przedpolu czerniało kilkanaście nieruchomych ciał. Żołnierze opatrywali broń, patrzyli zamyśleni przed siebie.

Drugi atak rozpoczął się silnym ogniem kaemów. Gdy nieco ucichł przeraźliwy świst i przestały tryskać fontanny błota, żołnierze unieśli głowy i zobaczyli atakującą tyralierę. Przypadli do przedpiersia okopu i zaraz suchy trzask strzałów wplótł się w przeraźliwy okrzyk banderowców...

Wolak nie bardzo zdawał sobie sprawę co się z nim dzieje. Jeszcze w czasie pierwszego ataku zrozumiał, że nie ma mowy o dowodzeniu całością. Żołnierze po prostu trwali w swych dołkach, strzelali, walczyli. Nie było przecież dokąd się cofać. Trzeba albo utrzymać pozycję, albo zginąć. O tym każdy dobrze wiedział. Stanął więc obok nich i robił to samo co wszyscy. Teraz widział jasno: trzeba za wszelką cenę utrzymać jak najdalej od siebie te rozwrzeszczane, skaczące figurki. Łowił je muszką, odpychał ogniem, dławił. Gotów był nawet drzeć glinę, rzucać bryłami, dusić...

Banderowcy dwa razy podchodzili na rzut granatem i dwa razy odpływali w tył. Walka nabierała wtedy niezwykłej zajadłości. Ludzie jakby się wściekli. Nie patrzyli na kule, stawali wprost twarzą w twarz i z bliska strzelali do siebie.

Zamek sucho szczęknął i stanął. Nie było już strzału. W tej chwili obok trysnął krzak płomieni i ostry huk targnął powietrzem. Wolak poczuł silne uderzenie w głowę. Zahuczało w niej, świat stanął dęba i ziemia podpłynęła mu pod twarz. Jakby z ulgą padł na nią i zamknął oczy.

Drugi atak odpływał jak odbita fala z powrotem na wzgórze. Ogień cichł na całej linii. Ludzie jakby nie dowierzając, że żyją, prostowali grzbiety, nieśmiało wychylali głowy z okopów.

Dowódcę odszukał pierwszy stary łącznik. Początkowo wystraszył się, bo porucznik miał całą twarz zalaną krwią. Nie własną jednak... To zabity strzelec Abramski upadł na Wolaka...

Porucznik z wolna przychodził do siebie. Chwiała mu się głowa, ale był całkiem przytomny. Wspierając się na ramionach żołnierzy podszedł do ławki przed kuchnią. Zwalił się na nią ciężko. Stary podsunął mu manierkę.

— Co to?

— Niech pije... Dobre...

Zakrztusił się samogonem. Zaraz jednak poczuł się lepiej.

— Wołajcie Piegdonia, Chrobota, Browarka — zarządził.

— Porucznik Piegdoń zabity... — powiedział ktoś cicho.

— Sierżant Browarek ranny...

Wolak zerwał się mimo osłabienia na równe nogi.

— Jak to?

— Porucznik dostał w brzuch i czoło... Na miejscu... A szef po nogach... Leży w ziemiance...

Wolak zaciskał mocno szczęki, żeby nie zawyć nagle nieludzkim głosem. W głowie znów rozpętał się młyn. Dostrzegł surowe, brudne twarze żołnierzy, zabłocone płaszcze i to oczekiwanie na rozkaz dowódcy. Zrozumiał, że w tej chwili jedno jego słowo może załamać ich ostatecznie lub wykrzesać energię potrzebną do przetrzymania. Byli zmęczeni, wyczerpani nerwowo do ostatecznej granicy. Zebrali się tu koło niego bez rozkazu, targani na przemian zwątpieniem, nadzieją, rozpaczą...

Dostrzegł między nimi sierżanta Chrobota. Przemógł się więc i zarządził:

— Zebrać podoficerów...

Rzucił potem serię rozkazów. Żeby policzyć ludzi i amunicję, doprowadzić obronę do normalnego stanu. Żeby nakarmić...

Widział, że cel został osiągnięty. Ludzie ruszyli się żywiej. Poczuli rękę dowódcy...

Banda nie przejawiała na razie znaku życia. Zapadła gdzieś w chaszczach i jarach, przyczaiła się za pagórkami. Poniesione straty nauczyły ją ostrożności. Żołnierze jednak tkwili na stanowiskach. Strażnica oczekiwała niespokojnie...

Wolak ruszył na obchód. W głowie mu się mąciło od kontuzji i choroby, niekiedy świat cały wirował, zataczał się. Jednak porucznik szedł uparcie naprzód, starając się utrzymać równowagę i zachować dobrą minę. Czuł na sobie uważne spojrzenia podwładnych. Zajrzał do rannych. Położono ich pośpiesznie, byle jak, na paru snopkach słomy rzuconych na gliniastą podłogę. Prowizoryczne opatrunki przesiąkały krwią. Leżeli tak brudni, osmoleni dymem walki, zgorączkowani, borykający się z bólem. Sanitariusz chodził między nimi, poprawiał bandaże, niektórym dawał krople czy łyk wody.

Szef leżał pod ścianą zaraz koło drzwi. Porucznik aż się zadziwił. Sierżant był teraz kłębkiem nerwów, cały w jakichś dygotach. Wzrok nabrzmiały strachem, bólem czy rozpacza krążył niespokojnie, wargi coś tam żuły, wypluwały. Poszarzał na twarzy, szczerzył zęby. Zobaczył dowódcę i zaraz zagadał:

— Obywatelu poruczniku, nie zostawiajcie nas... Chcemy żyć! Na miłość boską, nie zostawiajcie nas! Ratujcie! Oni nas zabiją... Nie zostawicie?

Ranni przycichli, chciwie łowili każde słowo. Sierżant podnosił głos. Pękał w nim ostatni hamulec, teraz gadał i gadał bez zatrzymania:

— Nie chcę zdychać... Wszędzie, byle nie w tej norze! Byle nie od siekiery! Poruczniku! Ja wiem... Oni nas dostaną... Lepiej dostrzelcie zaraz...

Wolak zagryzł wargi. Nie wiedział czy walić w pysk histeryka, czy rozwrzeszczeć się razem z nim. Szybkim spojrzeniem chwytał narastającą wśród rannych panikę. Ten i ów dźwigał się, inni macali gorączkowo rękami jakby szukając broni, niektórzy gadali jeden przez drugiego... Wrzasnął:

— Spokój! Coś wam powiem...

Ucichli trochę, a on zaraz rozpogodził twarz, uśmiechnął się:

— Nie ma powodu do obaw... Strażnica odparła dwa ataki i zadała bandzie duże straty... W tej chwili wycofali się i nie podchodzą bliżej. Mają stracha... Przed okopem leży ich z pięćdziesięciu...

Zamilkł na chwilę, udawał namysł. Potem powiedział cicho:

— Jeszcze jedno... Ale na razie nikomu ani słowa. Mam pewną wiadomość przeniesioną przez zwiadowcę... Idzie pomoc.

Jeszcze chwilę patrzył na z nagła ożywione twarze. Zaraz wyszedł. Za progiem kiwnął na sanitariusza.

— Szefa do osobnej izby... Niech przy nim siedzi Król. I pamiętaj: idzie odsiecz... Dowódca nie może powiedzieć więcej, ale to słyszałeś dobrze... Jasne?

Po chwili zjawili się Chrobot i Grzyb. Meldowali sucho, powściągliwie:

— Naboi prawie nie ma. Cekaem zużył wszystkie taśmy, w erkaemach zostało po magazynku... U strzelców prawie nic... Parę minut walki, no, kilkanaście i koniec. Z szeregów ubyło dwudziestu ludzi, z tego trzynastu rannych...

Kiwnął głową, że wie, widział. Tamci zamilkli czekając na rozkazy. Odprawił Grzyba, żeby dawał ludziom jeść i zajrzał Chrobotowi w twarz.

— Co ty na to?

Sierżant spuścił oczy, skubał pas automatu. Porucznik ponowił pytanie.

— Gadaj...

— Ciężko... — sierżant mówił cicho, z namysłem — zrobią jeszcze jeden atak i nie odeprzemy...

— To wiem... Jakie widzisz wyjście?

— Cóż, chyba tylko przebijać się. Co będzie to będzie... Innej rady nie ma...

Chciał mu jeszcze zadać pytanie o rannych, co z nimi robić, dokąd prowadzić oddział, czy na Komańczę, a może górami aż na Sanok, ale dostrzegł w oczach Chrobota zmęczenie i rezygnację. Widać, że sierżant pogodził się już z losem i nie miał siły na protest. Machnął więc ręką.

— Idź... Trzymać obronę, obserwować... Ludzie niech wypoczywają na zmianę. Póki mogą...

Usiadł ciężko za stołem. Nawet nie chciał gadać ze starym. Po raz pierwszy Wolak poczuł nieznośny ciężar swoich gwiazdek. Zamieniłby je teraz z chęcią na pusty naramiennik.

Trzeba podjąć decyzję. Uczyli tego w szkole oficerskiej, potem na froncie... Ba, na froncie. Obok swoi, z tyłu swoi, przed nami nieprzyjaciel. Wiadomo co i jak... Kto ma wspierać, kto idzie w pierwszym rzucie... A tu?

Niemal fizycznie czuje pierścień luf przyczajonego wokoło wroga. Swoi? Nie łudził się. Batalion w ciągłej walce... Graniczne placówki ledwo się bronią same. Znał na pamięć układ strażnic w tych przeklętych górach. Zwa je Bieszczady... Jeżeli do tej pory mimo milczenia radiostacji nic nie przedsięwzięli, to znaczy, że im trudno. Złe, rozmiękłe drogi, zasadzki... Trzeba liczyć tylko na siebie... Gdzieś tam tkwi wojsko: Sanok, Lesko, Baligród... Daleko...

Zabrakło mu Piegdonia. Obejrzał się po izbie, zatrzymał wzrok na porzuconej torbie polowej. Jakby wyszedł na chwilę i miał zaraz wrócić. Wejdzie, uśmiechnie się i powie coś wesołego. Albo wyciągnie z kąta butelkę samogonu. Bo Piegdoń lubił wypić. Nie za dużo, ale lubił. Może by zresztą pił więcej, ale miał respekt przed Wolakiem. Porucznik zaciska zęby. Nie miał siły pójść obejrzeć ciała Piegdonia. Ot i wyśnił sobie.. Na pewno twarz we krwi, zęby wyszczerzone. Jak wielu, wielu innych poległych...

— Niech się dzieje co chce — myśli porucznika biegną powoli — i tak koniec... Przecież nie jesteśmy zdolni do poważnej walki.

Obrzydła mu ta strażnica, walka, dowodzenie, nawet ludzie. Nie chce widzieć nikogo, wiedzieć o niczym. Wypić wódki i rzucić się spać... Niech diabli wezmą cały świat!

— Wybrałeś najłatwiejsze wyjście, bracie Piegdoń — mruczy sam do siebie — zginąłeś i masz spokój...

Zapragnął nagle, żeby to wszystko okazało się złym snem. Ot, obudzi się człowiek w świecie o normalnych wymiarach, bez koszmarnych zdarzeń, bez konieczności walki, umierania... Strażnice, bandy i to błotniste bajoro wspomni tylko jak dziwaczny sen...

..Za oknem rozmawiają cicho ludzie. Ich głosy przywracają mu poczucie rzeczywistości. Zaraz trzeba będzie pójść do nich, dać rozkazy, coś im powiedzieć. Czuł to nieomal fizycznie: gdziekolwiek na terenie strażnicy znajdują się żołnierze, to od czasu do czasu kierują wzrok na siedzibę dowódcy. Wprawdzie ludzie znają dokładnie swe położenie, ale liczą na niego. Może wie coś więcej? Może zna jakieś wyjście? Przecież jest oficerem, nosi gwiazdki. A on patrzy na rozłożoną mapę. Czerwonym ołówkiem zaznaczono na niej odcinek granicy powierzony ich opiece. Linia pnie się po pagórkach, przecina lasy, przeskakuje wąwozy. On odpowiada głową za całość tej czerwonej linii. Tak kiedyś mówił pułkownik na odprawie.

— Głową — uśmiecha się Wolak — i tak stracona, i tak.

Wydać rozkaz i spróbować się przebić? Może się pogniewać dowództwo, prokurator. Co to znaczy wobec pewnej śmierci, niezawodnej zagłady w wypadku pozostania w tej wiosce?

Nic prostszego: wstać i wydać rozkaz: gotować się do marszu... Wykonają natychmiast. Rozkaz jest dla nich ciągle najwyższym prawem. Jego rozkaz. Czerwona linia granicy natrętnie podsuwa się pod oczy. Porucznik ze złością odsuwa mapę.

— Fikcja! Głupota! — warczy rozwścieczony — czy mam dla tej fikcji wytracić swoich ludzi?

Czy ci, co dali rozkaz nie wiedzą, że taka straż nie jest w stanie nic ochraniać? Ledwo sama się broni, ledwo dyszy. Nie istnieje żadna służba graniczna, nie istnieje przecież i sama granica. Jest tylko złudzeniem na mapie. Przez granicę może przejść każdy, kto ma na to ochotę. Dowództwo winno o tym wiedzieć. Zebrać rozrzuconych żołnierzy w jedną grupę, mieć w ręku miecz. Wtedy dać w skórę bandom. A tak? Palą się wioski, giną ludzie, wykrusza się wojsko. Zdenerwował się. Niby to wszystko racja, ale coś tam człowieka niepokoi, męczy. Przecież jemu dano rozkaz. Postawiono strażnicę, bo trzeba chronić granicę, trzeba, żeby tkwiła w tym terenie, przeszkadzała. Gdy padną jedni, to przyjdą drudzy i dalej stać będą. Granica państwa. Nie może nią zachwiać jakiś opryszek z tryzubem na czapce. Jak to mówił podchorąży Witkowiak?

— Położymy się na granicy i będziemy warować jak czuje psy — chłopak rozczytywał się w Sienkiewiczu. Marzyły mu się kresowe stanice, rycerze walczący z najazdami, zasłaniający spokojnych mieszkańców. Padł Witkowiak pod Czystohorbem, rozwalili mu pierś wybuchową kulą. A on, Wolak?

Wiedział po co idzie do wojska. Była wojna. Ludzie ginęli wszędzie o każdej porze. Zżył się z myślą o walce. Bez słowa poszedł też w te góry.

Za drzwiami kroki. Wchodzi Chrobot. Twarz szczerniała, pod oczami głębokie bruzdy jak po przepiciu.

— Co tam?

— Na razie spokój — mówi sierżant — ludzie siedzą w pogotowiu. Wolak słucha raportu, przygląda się sierżantowi. Z nagła poczuł do niego wielką czułość. Oto ten chłopak już się przygotował na wszystko. Śmierć w oczach, a on dokładnie, jak zwykle wypełnia rozkazy. Wola dowódcy więcej znaczy dla niego niż niebezpieczeństwo. A co przeżył? Widać w niełatwej walce ze sobą łamał się sierżant Chrobot. Wydało mu się, że za sierżantem stoi czterdziestu takich samych ludzi, kurczowo trzymających się życia. Czekają na jego rozkaz. To, co za chwilę powie będzie wyrokiem śmierci lub nadzieją, ocaleniem. Czy jest, do cholery, Bogiem, żeby decydować o ludzkim życiu? Nie za dużo to na niego? Patrzy na sierżanta i mówi:

— Słuchaj Chrobot, o zmroku zaczniemy się przebijać. Sierżant poderwał głowę. W oczach zdumienie.

— Zostawimy granicę?

— Słuchaj. Musimy odejść, żeby dostać amunicję i uzupełnienie. Za parę dni znów tu przyjdziemy. No i ranni.

Aż sam się sobie dziwi, że idzie mu tak gładko. Znalazł odpowiednie argumenty. Wolak mówi szybko, głośno. Nawet o wiele za szybko i za głośno niż powinien. Jakby chciał coś w sobie zagłuszyć, nie puścić na powierzchnię. Coś tam się w nim buntuje. Wtedy jeszcze podnosi głos i wyjaśnia Chrobotowi, co ma jeszcze zrobić do wymarszu. Sierżant milczy, słucha, kwitując otrzymane polecenia krótkim: Tak jest. Wiatr zmienił kierunek i teraz pędził przed sobą poszarpane kawały chmur. Chwilami świat ginął w śnieżnej zadymce, momentalnie bielały dachy, a za kilka minut ostro zacinał deszcz. Potem przerwa i wszystko zaczynało się od nowa.

Strażnica przyczaiła się w nadciągającym mroku. Ustał ruch, nie migotało ani jedno światełko. Cisza leżała w dolinie, cisza snuła się między domami, cisza opanowała pagórki. Wolak wyszedł przed dom, głęboko odetchnął wilgotnym powietrzem. Postał chwilę, nadsłuchiwał. Potem ruszył powoli w stronę kuchni.

Ludzie ostrożnie opuszczali stanowiska, oglądając się szli na miejsce zbiórki. Podoficerowie szeptem wydawali rozkazy. Chrobot natknął się na stojącą z boku grupkę.

— Kto tam?

— Cekaemiści...

— Aha... Dołączajcie do drugiego plutonu. Nie stójcie jak durnie. Prawie popchnął ich w tę stronę. Gdy odszedł celowniczy splunął: — Faktycznie jak durnie. Cekaemiści z zamkiem w kieszeni. Zmarnowali sukinsyny maksima.

Nie wiadomo było kogo klnie — swoich czy wroga.

Żołnierze stali cicho przestępując z nogi na nogę. Dawno już spakowali swój nieskomplikowany dobytek. Teraz został tylko karabin w garści i woreczek na plecach. O resztę niech się martwi dowódca. Porucznik szedł wzdłuż gotowych już do drogi drużyn, starał się dojrzeć ledwie bielejące w mroku twarze. Czuł odprowadzające go spojrzenia, czuł napięte nerwy wielu ludzi, sprężoną myśl, nabrzmiałą do ostateczności wolę przeżycia. Przyszedł teraz czas pokazania, czy władza i prawo rozkazywania zostało dane właściwemu człowiekowi.

Wolak był zły na siebie. Tu trzeba się skupić, myśleć, a tymczasem po głowie chodzą różne dziwaczne myśli. Czuł jednak, że dopóki nie ruszy kolumna będzie pod wrażeniem kilkudziesięciu par choć niewidocznych, ale uporczywie wpatrzonych w niego oczu.

— Ot, oficerski przywilej — dumał — myśleć za czterdziestu, przeżywać za czterdziestu i umierać za nich wszystkich. Ciemność jest gęsta, nieprzenikniona. Wydaje się, że można ją ująć w rękę. Ludzie idą blisko siebie, aby się nie pogubić, nie zabłąkać. Ciemność i pustka wokoło odstraszają swą niesamowitością. Ludzie zbijają się w gromadę, aby tylko nie zostać samemu. Ranni ucichli i kolumna wygląda jak korowód duchów.

(Ciąg dalszy w n-rze następnym)

Rys. J. SIENKIEWICZ

„CYGANIE Z ANDALUZJI" W ŁAŃCUCIE

W ramach Międzynarodowej Kampanii Muzealnej w ubiegłą niedzielę w Zamku Muzeum w Łańcucie odbyła się polska prapremiera komedii z arietkami Jana Potockiego „Cyganie z Andaluzji", którą przygotował z dużą pieczołowitością zespół Państwowego Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie. „Cyganów" reżyserował Stanisław Biliński, scenografię opracował Otto Axer, choreografię — Barbara Fijewska. Muzykę, opierając się na wskazówkach Potockiego i zgodną z duchem okresu powstania śpiewogry napisał Zbigniew Bujarski.

Spektakl premierowa publiczność przyjęła ciepło.

M. G.

Fot. M. KOPEĆ

Nowy sezon teatralny w Paryżu

52 teatry w Paryżu oraz 10 ośrodków kulturalnych na przedmieściach stolicy ukończyło przygotowanie do nowego sezonu teatralnego 1967—68.

Jak podaje prasa francuska, repertuar teatrów zawiera ok. 30 premier. Tyle samo będzie wznowień sztuk, które w ubiegłym sezonie odniosły największy sukces. Wśród nowości największe zainteresowanie budzą sztuki o problematyce społecznej. Na scenie teatru „Atenee" odbyła się już premiera sztuki młodego autora Victora Haima „L'armee blanche". Utwór ukazuje reakcję rodziny amerykańskiej, w której syn wysłany został do Wietnamu.

„Théâtre National Populaire" przygotowuje „Matkę" Brechta. Drugą sztukę Brechta — „Wizje Simony Machard" wystawi scena w Aubervilliers.

„Théâtre Est Parisien" wystąpi w październiku z premierą sztuki Aimé Césaire'a „Une saison au Congo", poświęconą tragedii Lumumby.

W związku z 50 rocznicą Rewolucji Październikowej Théâtre de Gennevilliers wystawi sztukę Wsiewołoda Wiszniewskiego „Pierwsza konna". Teatr Miejski im. Romain Rollanda w Villejuif grać będzie w dniach od 18 bm. do 30 XI spektakl „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem", według książki Johna Reeda, w adaptacji i reżyserii Raymonda Gerbala.

Bardzo ciekawie zapowiada się sezon teatralny 1967—68 w Odéon-Théâtre de France pod kierownictwem Jean-Louis Barrault. Wznowiono tu „Kuszenie św. Antoniego" Flauberta w reżyserii Maurice Béjarta, jak również „Medeę" Seneki. (Kt-PAP)

Po kilkumiesięcznej przerwie — nowy „Archimedes"!

Lubię te programy bardzo, bo jest w nich autentyczna pasja w zwalczaniu zwątpień, bo Eugeniusz Pach — ich twórca gromadzi wokół siebie ludzi na ogół świetnie dyskutujących, bo, kończąc się, pozostawiają nas rozognionych sporem w czterech ścianach domu, gdzie dyskusją finalizujemy. Potem się wysyła kartkę i można polecieć do Paryża, Rzymu lub Kairu...

Lubię je jeszcze dlatego, że jedyne w publicystycznym bigosie telewizyjnym szukają odpowiedzi na pytania: jacy powinniśmy być, co nam powinno być bliskie w cudzych poglądach, na czym warto by się wzorować.

Ostatni „Archimedes" był jednak nieco inny, bardziej frywolny. W doborze 3 postaci — taki sobie rozrywkowo-kłótliwy. Po Capacu i Koperniku przyszła kolej na panie i rzecz przybrała wymiary monstrualnej kłótni o jedną z nich — piękną baronową Dudevant, czyli George Sand. Kłócili się Dygat z Kurkiem, Bienkowski z panią Szymańską; nawet spokojny zwykle prof. Grzybowski też się w pewnym momencie zdenerwował na Dygata, Kurka i Bienkowskiego za brak precyzji sformułowań, za nielogiczność. Dygat w ogóle się zgrywał na polskie enfant terrible literatury, które z historii nie zdążyło się dowiedzieć ni słowa o Kleopatrze — za to mocą skojarzeń wyobraził ją sobie jako Marylin Monroe (swoją drogą — cóż za wyobraźnia u Dygata!). Sądzę, że takie skojarzenie mogło przyprawić prof. Grzybowskiego o atak, ale jeśli nawet przyprawiło, to nie mogliśmy się dowiedzieć, bo prof. Grzybowski reprezentuje starą, dobrą szkołę retorów, w której każdy winien się jasno i w swoim czasie wypowiedzieć, przeto w ogólnym bałaganie zacietrzewionych mężczyzn musiał milczeć i słuchać pana — Kurkowych rewelacji o Kleopatrze, że to pyszna anatomia, pana — Dygatowych — że to Marylin starożytności i jeszcze paru innych, gdzie ciało i uroda wcale nie mniejszą rolę odgrywały.

Beatrycze Dantego — cień niebiański — też ci nam był za wzorzec i nikt do końca dobrze nie wiedział, czemu jako partnerka boskiego poety tak bardzo godna naśladowania. Też widać ciało i uroda, bo o rozumie nie wiadomo nic. Usiłował znowu to wytłumaczyć prof. Grzybowski — ale mu nie dano i się zniechęcił. Więc przypominam już na spokojnie za nim: jakimż to wzorcem miit być może?

O panią Sand był taki harmider, jakby co najmniej z grobu powstała i zagrażała obecnym w „Archimedesie" dwom pisarzom, bo wszak światek twórców literatury lubiła zawsze. Przeto Dygat — za grobu dawała się troszkę uwodzić, i mówił że żałuje pięknej Aurory, Kurek wręcz rzucał na nią kalumnie i znowu nie chodziło o zagadnienie partnerstwa, ale o łóżko, czyli kto i ile razy zagrzewał je dla pożądliwej George.

Tak ci się wadząc, o łóżku nie zapominając ani na chwilę, panowie dobrnęli do finału i kazali nam głosować. Po raz pierwszy mi się nie chce, bo chaze łóżka mnie nie interesują, trzy kobiece mity — mitami zostały, ale o innych ciekawych rzeczach prof. Grzybowskiemu mówić niemal że nie dano. Więc sobie poczekam, gdzie zwycięzca pojedzie, choć mam prawo podejrzewać, że będzie tym miejscem Kair. Nie ma wszak kobiety, która by nie wiedziała, jak Kleopatra malowała oko...

Po tych arcypoważnych dygresjach niewiele miejsca mi zostało na inne programy. Przeto szybko ad rem: czy pamiętacie „Ziemię obiecaną" — powieść na tyle, by skonfrontować ją ze spektaklem teatr tv? Jeśli nie — sięgnijcie po książkę raz jeszcze i wtedy mi uwierzycie, że adaptacja Jakobczyka była znakomita reżyseria Worontkiewicza — mądra, obydwom zaś przyświecał cel przejrzysty odarcia „Ziemi obiecanej" z młodopolskiej maniery, z krzykliwych ekspresjonizmów, a dania w zamian ironiczno-brutalnej dokumentacji karier łódzkich królewiąt. Spektakl był wstrząsający, koncertowo zagrany i pięknie zharmonizowany z filmowymi dokrętkami, na których posępna brzydota miasta i tłum roboczy były równorzędnymi partnerami Borowieckich, Weltów i Muellerów.

Równie znakomicie zsynchronizowany ze starymi kronikami Rewolucji Październikowej był program publicystyczno-reportażowy o Polakach, biorących bezpośredni udział w tamtych wydarzeniach. Wyszukanie tych ludzi po bez mała 50 latach, zgromadzenie przed kamerami już było dostateczną rekomendacją atrakcyjności „Żołnierzy Rewolucji"; zaś umiejętność ilustrowania faktu mówionego materiałem filmowym — czyniła z nich program nader rzadkiej wartości historycznej.

Mieliśmy jeszcze w minionym tygodniu dwa bardzo niedobre programy: należały do nich „Karykatury Stanisława Mrowińskiego" — pretensjonalna próba prezentacji artysty, który niczym cyrkowy clown zachwalał naiwnymi sztuczkami swój produkt i magazyn młodzieżowy „Po szóstej" — nadany tym razem z Krakowa i oscylujący stale na granicy snobistycznej tandety i pseudointelektualizmu. Rzecz o tyle ma swoją negatywną wymowę, że właśnie z Krakowa powinno być w czym a raczej w kim przebrać i dokonać prezentacji bodaj ułamka z przebogatej całości miasta 14 wyższych uczelni. Zobaczyliśmy troszkę twistowiczów i czterech gniewnych z Krzysztoforów, którzy kłócili się z Włodzimierzem Maciągiem na temat zawartości intelektualnej umysłów tychże twistujących. Maciąg — delikatnie próbując zanucić snobizm i elitarność twórcom popularnego klubu — został zakrzyczany; odpowiedź więc czy tak jest i dlaczego tak jest — nie padła. A przecież klimat, w jakim „dyskuja" się rozegrała sugerował tłumaczenia...

KRYSTYNA

Malarstwo Jadwigi Karwackiej

W dniu 28 września br. w Domu Sztuki w Rzeszowie otwarto wystawę malarstwa Jadwigi Karwackiej. Jest to wystawa z okresu pięcioletniej pracy, obejmująca całokształt dorobku artystycznego malarki z tego czasu.

Artystka pobierała kiedyś w Krzemieńcu naukę rysunku u Czesława Rzepińskiego, Jana Cybisa, Emila Krchy i Stanisława Szczepańskiego, a później studiowała malarstwo u prof. Jerzego Fedkowicza w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Dwie podróże artystyczne do Włoch i do Drezna stanowiły uzupełnienie jej artystycznej edukacji.

Od roku 1951 Karwacka poświęca się pracy pedagogicznej (od 1955 r. w Liceum Technik Plastycznych w Sędziszowie), a równocześnie uprawia malarstwo sztalugowe. Jej prace zgromadzone na wystawie świadczą zdecydowanie o silnych związkach artystki z tzw. Komitetem Paryskim i koloryzmem polskim. Studia w pracowni Jerzego Fedkowicza pozostawiły trwały ślad w malarstwie artystki. Wprawdzie wśród 60 eksponowanych prac olejnych znajdujemy dzieła o różnym poziomie i różnych konwencjach artystycznych (czasem trudno uwierzyć, iż pochodzą spod tego samego pędzla), ale zawsze cechuje je charakterystyczna dla koloristów harmonia barwna płócien, kompponowanie płaszczyzny obrazu za pomocą układu dynamicznych, drgających plam koloru i światła oraz wrażliwość na zmysłowe, prawie dotykalne piękno natury. Jest to malarstwo realistyczne, nieco tradycyjne, nawet stylizowane, ale kolorym chroni je przed werystycznym odtwarzaniem pejzażu czy postaci. Krajobraz bowiem i psychologiczne studia portretowe, to ulubione motywy malarstwa Jadwigi Karwackiej. Obrazki od koloryzmu nie zawsze się jej udają. Okupuje je zachwianiem kompozycji obrazu i zimnymi, nieharmonizowanymi plamami barw.

Malarstwo artystki ma wydźwięk optymistyczny. Człowiek, krajobraz, architektura traktowane z pełną aprobatą uczuciową, stanowią ulubione motywy jej twórczości. Bieżąca wystawa zorganizowana przez Zarząd Okręgu ZPAP i BWA w Rzeszowie jest jeszcze jedną w serii kilkunastu ekspozycji Jadwigi Karwackiej, które eksponowała w ciągu swej pracy artystycznej w salach wystawowych całego kraju.

J. G.

Fot. M. KOPEĆ

Zofia Nałkowska: NARCYZA. Wyd. Literackie. s. 328, cena 18 zł. Pierwsze wydanie tej mało znanej powieści autorki „Granicy" ukazało się jeszcze w roku 1910 (powtórzone w 1911). To jest następne. Akcja toczy się w 1905 roku, a bohaterką jest radykalizująca panna ze zubożałego dworu. Psychologiczne. Znawcom warto poznać ten młodopolski epizod twórczości Nałkowskiej.

Edward Chromy: SZACHOWNICE NAD BERLINEM. MON. s. 341, cena 20 zł. Nie jest zbyt bogata, literatura mówiąca o wojskach lotniczych walczących na wschodnim froncie II wojny światowej. Wzbogaca ją poważnie pamiętnik pułkownika Chromego, który od pierwszych dni walczył w pułku lotnictwa myśliwskiego „Warszawa" i przeszedł razem z nim cały szlak bojowy. Tę frapującą lekturę uzupełniają z powodzeniem liczne ilustracje.

Himilsbach: MONIDŁO. PIW. s. 166, cena 12 zł. Nie znamy ani imienia, ani prawdziwego nazwiska autora tego autentyku. A autor miał niezwykle bogate życie. Od 1942 roku przez dwadzieścia pięć lat włóczył się po Polsce. Próbował różnych zawodów. Spotykał dobrych i złych ludzi. Siedział w kryminale. Pisze o swoich przeżyciach. Jak? Przeczytajcie.

TU JEST NASZ DOM. Antologia wierszy o Lublinie. Oprac. R. Rosiak. Wyd. Lubelskie. s. 128, cena 15 zł. Wiek XVI reprezentuje Sebastian Klonowic, następne wielu poetów innych epok aż po współczesność. Temat w tytule.

Zbigniew Szymański: WYGASANIE FORM. Wyd. Morskie. s. 42, cena 10 zł. Autor urodzony w Wilnie — z zawodu architekt. Książeczka stanowi trzeci z kolei jego tomik poetycki.

Bronisław Wiernik: CIEŃ KAPITANA DAILEYA (Korespondent sajgoński zmienia zdanie). KiW s. 388, cena 20 zł. Autor był cztery razy w Wietnamie i oddaje do rąk czytelnika już trzecią książkę o tym kraju (poprzednie: „Rok tygrysa" i „Spotkanie w dżungli"). Ostatnia książka odtwarza rozwój wypadków w południowym Wietnamie od stycznia roku 1962, pokazuje jak naród wietnamski walczy o swe wyzwolenie i zjednoczenie.

Hasso Mager: W PIĄTEK MIĘDZY TRZECIĄ A SZÓSTĄ. Przeł. J. Stoynowski. Iskry s. 318, cena 24 zł. Autor — mało znany pisarz niemiecki średniego pokolenia. Swój debiut powieściowy oparł na własnych doświadczeniach i obserwacjach w czasach hitlerowskich Niemiec.

OPOWIADANIA Z WYSP KARAIBSKICH. Wybrał i wstępem opatrzył A. Salke. Tłum. Z. Kierszys. KiW s. 312, cena 25 zł. Jest to wybór literatury indyjskiej z rejonu karaibskiego, dokonany przez prozaika zachodnioindyjskiego. Opowiadania tu zamieszczone ukazują życie obyczajowe Indii Zachodnich, urzekają swoistym humorem lub smutkiem oraz egzotyką.

Bohdan Arct: POLACY W BITWIE O ANGLIĘ 1940. Wyd. MON s. 171, cena 8 zł. Książeczka wydana w popularnej serii: „Kampanie, dowódcy, bitwy" ukazuje bohaterstwo polskich lotników, którzy walczyli i ginęli w wielkiej bitwie powietrznej o wolność Anglii w 1940 roku.

Szymon Chodak, Jerzy Kleer: SOCJALIZM A MODERNIZACJA W „CZARNEJ" AFRYCE. KiW s. 282, cena 25 zł. Książka stanowi próbę analizy kierunku rozwoju niepodległych państw Afryki, dokonaną przez autorów, z których jeden jest z zawodu socjologiem a drugi ekonomistą. Przemiany ideowe i ekonomiczno-społeczne państw Czarnego Lądu w powiązaniu z ich tradycją — zainteresują z pewnością czytelników.

Karol Martel: U PODSTAW FENOMENOLOGII HUSSERLA. KiW s. 256, cena 25 zł. Autor w pracy tej zajmuje się podstawowymi założeniami fenomenologii oraz wskazuje jak ukształtowały się one w procesie rozwoju filozoficznej twórczości Edmunda Husserla.

Bogdan Suchodolski: PODSTAWY WYCHOWANIA SOCJALISTYCZNEGO. KiW s. 282, cena zł. 10. Wydana w serii „Biblioteki Samokształcenia ZNP" książka omawia różnice między cywilizacją burżuazyjną i socjalistyczną oraz cele i metody wychowawcze konieczne właśnie we współczesnym świecie.

PRODUKCJA, AKUMULACJA, SPOŻYCIE. Tłum. K. Gruberowa. KiW s. 366, cena 25 zł. Książka składa się z 5 szkiców znanych ekonomistów radzieckich i poświęcona jest węzłowym zagadnieniom gospodarki narodowej ZSRR. Ukazuje jej strukturę, tempo rozwoju i perspektywy.

WIELKIE ZWYCIĘSTWO NAD WOŁGĄ. Wyd. MON s. 532, cena 59 zł. Monografia wydarzeń nad Wołgą od lipca 1942 do lutego 1943, opracowana przez czołowych historyków radzieckich. Liczne wykresy, ilustracje oraz oddzielny zbiór map, uzupełniają pokazany tu obraz obrony Stalingradu.

LUBLIN 1317—1967. Wyd. Lubelskie s. 298, cena 50 zł. Pokazana tu jest historia Lublina od roku przyznania Lublinowi praw miejskich przez Władysława Łokietka — aż do chwili obecnej. Tom składa się z 9 studiów i szkiców, które podporządkowane tematowi tworzą pewną całość. Bogaty materiał ilustracyjny.

Na naszym ekranie

Andre Raimbourg

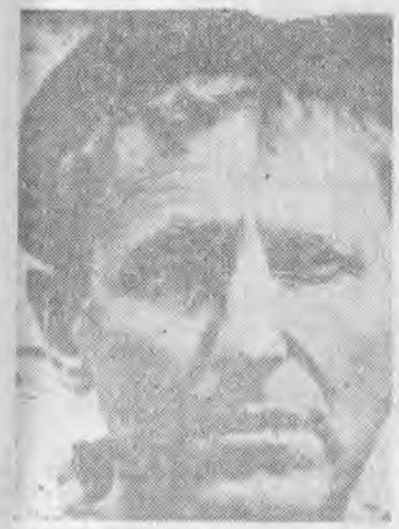

Nie, to nie pomyłka. Nazwisko nad zdjęciem jest najzupełniej prawidłowe i... autentyczne. Słowo Bourvil, pod jakim znamy tego popularnego aktora francuskiego (niedawno widzieliśmy go w telewizji w filmie „Poprzez Paryż") jest pseudonimem, będącym zarazem nazwą normandzkiej wsi niedaleko Dieppe, w której nasz bohater przyszedł na świat 27 lipca 1917 roku. Data ta pozwala stwierdzić, że Bourvil obchodził niedawno jubileusz 50-lecia urodzin — i z tej okazji zacytujemy wypowiedź czcigodnego pięćdziesięciolatka o sobie: Jestem jak normandzki ser, im starszy, tym lepszy.

Sądzę, że nikt nie uzna tych słów Bourvila za dowód pychy, gdyż wszyscy wiemy, że jest on rzeczywiście dobry wśród tak niewielu przecież komików ekranu, w dodatku zaś należy do aktorów, którzy potrafią nie tylko śmieszyć, ale także wzruszać.

Swoją życiową karierę Andre Raimbourg rozpoczął jako terminator u piekarza. Lubił pożartować z klientami, pośmiać się i na pewno zapewniłby sobie niezłą przyszłość jako mistrz piekarski, gdyby jego patron grający w miejskiej orkiestrze nie zachęcił go do nauki muzyki. Andre opanował czytanie nut, nauczył się grać na trąbce i akordeonie, po czym całkowicie stracił zainteresowanie zawodem piekarza. Orkiestrowanie zabiera mu dużo czasu, odchodzi więc z piekarni, pracuje jako czyściciel butów i hydraulik — byle tylko zarobić na życie.

Powołany do wojska, odbywa służbę w Paryżu. Tu próbuje sił nie tylko w orkiestrze tanecznej, ale także w maleńkich scenkach estradowych. Zwolniony z wojska pozostaje w Paryżu i tu próbuje szczęścia na scenie.

Nadchodzi rok 1939. Andre znów przywdziewa mundur. Wzięty do niewoli przez Niemców, ucieka im i wraca do Paryża, gdzie mieszka pod przybranym (po raz pierwszy) nazwiskiem Bourvil. Zarabia na życie grą na akordeonie i akompaniowaniem, później coraz częściej dostaje angaże na występy estradowe. Po wyzwoleniu staje się jednym z najpopularniejszych aktorów music-hallu i variete.

W 1945 roku znany reżyser Jean Dreville angażuje go do jednego ze swoich filmów i odtąd Bourvil wiąże swą karierę z kinem. Wiele jego filmów widzieliśmy także na naszych ekranach: „Garbus", „Kapitan Fracasse", „Kadet Russel", „Poprzez Paryż" i inne, a przede wszystkim „Wszystko złoto świata" Rene Claira, film, w którym Bourvil odkrył przed nami cały swój warsztat, grając dwóch bohaterów, składających się na typową sylwetkę, jaką zazwyczaj ten aktor prezentuje na ekranie. Bohaterowie ci to wieśniacy: ojciec i syn, pierwszy chytry i przewidujący, drugi — nierozgarnięty i naiwny. Takim pamiętamy Bourvila z ekranu. Głupowaty chłopek, z którego chętnie śmieje się miejska publika. Ale ten chłopek nie jest znów taki durny! To chłopek-roztropek, który potrafi przechytrzyć swoich przeciwników, i — ku radości widza— wyprowadzić ich w pole. Bo widz lubi postacie grane przez Bourvila, choć się z nich śmieje. Lubi je za ich uczciwość, pogodę, opowiada się po ich stronie, współczuje w niepowodzeniach. Bourvil nie śmieszy bowiem — jak np. niektórzy komicy amerykańscy — mechanicznie, wywołując efekt dzięki serii gagów i grymasów, u niego humor przeplata się ze smutkiem, jego bohaterowie bawią i wzruszają.

50-letni aktor intensywnie pracuje. Marzy o zrealizowaniu wspólnie z kinematografią radziecką komedii o dwóch kierowcach paryskich taksówek. Jeden z nich Francuz z podziwem mówi o Związku Radzieckim, jego sukcesach w dziedzinie nauki i techniki, drugi — rosyjski emigrant — nie szczędzi swej ojczyźnie słów krytyki. Dla rozstrzygnięcia sporów obaj udają się do ZSRR, gdzie przeżywają wiele wesołych przygód. Francuz zakochuje się w rosyjskiej dziewczynie, a Rosjanin w swej na nowo odkrytej ojczyźnie, w której zostaje. Film nosiłby tytuł „Czerwone i białe", a jego reżyserem mógłby być Alex Joffe.

(sz.)

JERZY MAŚLANKA — kierownik zespołu „Skra" w Dębicy.

Rys. J. SIENKIEWICZ

Co niesie wiatr

Poklepywanie po ramieniu

Jesienny wiatr przyniósł ostatnio na moje biurko remanenty lata. Wśród nich znalazłam omówienie działalności naszej filharmonii pióra Jerzego Jaroszewicza. Autor z wysokiej, bo ogólnokrajowej trybuny „Głosu Pracy" przy okazji skarcił — co prawda w miłym tonie starszego brata — prasę rzeszowską i miejscową rozgłośnię za zbyt rzadkie zamieszczanie informacji o koncertach tej placówki.

Istotnie w ub. sezonie notatek na ten temat nie było żadnych, natomiast materiałów t y l k o t y l e, i l e koncertów. A że to mało — nie nasza wina! W miarę miejsca staraliśmy się nawet wprowadzać czytelników w nastrój dzieł programu koncertów, pokazywać sylwetki kompozytorów, ich epokę, solistów... pamiętając o roli prasy jako organizatora życia kulturalnego i popularyzatora sztuki.

I teraz się zastanawiam, czy satysfakcję publicyście i jego informatorom sprawiłoby podawanie w przyszłości jeszcze raz takiej liczby zapowiedzi koncertów niż przewiduje ich plan działania filharmonii? Innego rozwiązania kwestii nie widzę.

Nie zamierzamy bowiem rezygnować z wprowadzeń do koncertów na rzecz przedrukowywania tekstu afiszy. Od tego rodzaju anonsów jest bodaj najbardziej poczytna część gazety (sprawdzone!!), ale ta niestety nie leży już w naszej gestii: dział ogłoszeń!

— Eureka! O to chyba p. Jaroszewiczowi chodziło! GAMA

Polonica kulturalne

„ADAM MICKIEWICZ I LITWA"

W Wilnie otwarta została wystawa „Adam Mickiewicz i Litwa", ilustrująca zainteresowanie, jakim cieszy się twórczość poety polskiego w Litewskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Dzieła Adama Mickiewicza wydawane były 13 razy na Litwie Radzieckiej. Wiersze naszego wieszcza tłumaczyło 40 poetów litewskich. Na ekspozycji obok utworów Mickiewicza w przekładzie na język litewski, można też zobaczyć książki i artykuły, omawiające twórczość Mickiewicza oraz powiązania poety z Litwą.

„MYŚLI NIEUCZESANE" LECA — PO BUŁGARSKU

Bułgarski miesięcznik literacki „Płamyk" opublikował w nr 11/1967 obszerny wybór „Myśli nieuczesanych" Stanisława Jerzego Leca. Autorem wyboru i przekładu jest pisarz bułgarski, Wiczo Iwanow. Ilustrował Borys Dimowskij.

KSIĄŻKA B. SCHULZA W NRF

Nakładem monachijskiego wydawnictwa „Hanser- Verlag" ukazał się zbiór prac Brunona Schulza pt. „Rzeczpospolita marzeń" (fragmenty większych utworów, listy, rozprawy). Autorami niemieckiego przekładu są: Mikołaj Dutsch i Josef Hahn.

OPOWIADANIA RUDNICKIEGO PO WŁOSKU

Nakładem wydawnictwa Mondadori ukazał się we Włoszech zbiór opowiadań Adolfa Rudnickiego. W książce znalazły się obok opowiadania tytułowego „Szczury", powieść „Niekochana", nowela „Krowa" i in. z różnych okresów twórczości pisarza.

Zdarzenia tygodnia

W ubiegły poniedziałek udał się do Jugosławii blisko 70-osobowy zespół pieśni i tańca „Rzeszowiacy" Zakładowego Domu Kultury mieleckiej WSK.

W czasie 2-tygodniowego tournée wystąpi w wielu miastach i wsiach Jugosławii, prezentując bogaty folklor regionu rzeszowskiego.

*

Odbyło się posiedzenie przedstawicieli zainteresowanych instytucji (WKZZ, WDK i ZTA), na którym omówiono dotychczasowy dorobek Wojewódzkiej Sceny Amatorskiej Twórczości Artystycznej, która w okresie od roku 1966 zaprezentowała 69 czołowych amatorskich zespołów artystycznych województwa rzeszowskiego, łącząc występy ze szkoleniem instruktorów poszczególnych form artystycznych. W celu poszerzenia i udoskonalenia tej formy upowszechnienia dorobku artystycznego powołano zespół do spraw Wojewódzkiej Sceny Twórczości Artystycznej, na którego czele stanął Wiktor Nowicki, sekretarz Oddziału Wojewódzkiego ZTA.

Zgodnie z opracowanym programem do końca br. zostanie zaprezentowany dorobek czołowych orkiestr dętych województwa rzeszowskiego i chórów, amatorskich klubów filmowych i zespołów estradowych. Planuje się również występ zespołu dramatycznego z repertuarem związanym z przypadającą w tym roku 50 rocznicą Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej.

*

1 października br. w zakładowych placówkach kulturalno-oświatowych odbyło się ponad 150 imprez artystycznych, połączonych z turniejem pn. „50 lat kinematografii radzieckiej" (eliminacje środowiskowe). Wyłonione podczas imprez 3-osobowe drużyny będą reprezentować placówki i środowiska podczas turniejów okręgowych, organizowanych przez branżowe zarządy okręgowe poszczególnych związków zawodowych w dniu 15 października br.

*

W dniach 27 i 28 września br. odbyło się w Foluszu (Dom Wczasowy PTTK) szkolenie aktywu kulturalno-oświatowego pow. jasielskiego na temat obchodów 50 rocznicy Rewolucji Październikowej.

W zajęciach, zorganizowanych przez PDK, ZP ZMW i PZGS wzięli udział pracownicy klubów „Ruch" i klubów rolnika i aktywiści kół ZMS.

*

2 października br. odbyło się w Rzeszowie pierwsze posiedzenie powołanego przez Wydział Kultury Prez. WRN Wojewódzkiego Komitetu Organizacyjnego XIV Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego.

Podczas posiedzenia dokonano wyboru przewodniczącego Komitetu, którym został mgr Józef Kanik — zast. kierownika Wydziału Kultury Prez. WRN, oraz sekretarza (W. Nowicki). Ustalono również zadania, zmierzające do sprawnej organizacji przebiegu konkursu na terenie woj. rzeszowskiego.

Zgodnie z zaleceniami przesłanego wcześniej regulaminu należy w powiatach powołać komitety organizacyjne, do których zadań będzie należała szeroka popularyzacja w środowiskach robotniczych, szkolnych i wiejskich założeń konkursu, powołanie stałych punktów konsultacyjnych z zakresu poradnictwa repertuarowego i ustalenia planu imprez środowiskowych.

*

W Zakładowym Domu Kultury Huty „Stalowa Wola" odbyła się 6 października kolejna premiera. Amatorski teatr tej placówki pod kierownictwem Józefa Żmudy wystawił sztukę Furmanowa pt. „Studencka miłość" Przy okazji warto podkreślić, że jest to już 51 premiera amatorskiego teatru ze Stalowej Woli.

*

W dniach 30 września i 1 października br. w Wojewódzkim Domu Kultury odbyło się zorganizowane wspólnie ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego i Związkiem Młodzieży Wiejskiej seminarium dla instruktorów tańca. Program obejmował wykłady z zakresu techniki tańca, polskich tańców narodowych i ludowych oraz podstawowych wiadomości z zakresu pedagogiki i socjologii.

Ambicje i działanie

Po okresie „bezkrólewia", które ujemnie wpłynęło na całokształt pracy k. o. z młodzieżą i dorosłymi, Zakładowy Dom Kultury Huty „Stalowa Wola" ma od dnia 1 lipca br. nowego kierownika. Jest nim Józef Bilinski, do niedawna członek prezydium rady zakładowej huty, ofiarny i zasłużony działacz k. o. Jednocześnie w związku z odejściem do innej placówki Moniki Nowak, stanowisko instruktora działu upowszechnienia wiedzy wśród dorosłych objął Tadeusz Porczyński.

Trudno oceniać obecną pracę ZDK, mimo jego niedawnych sukcesów, gdyż to dopiero trzy miesiące działania nowego kierownictwa.

Prace ZDK zmierzają w dwóch głównych kierunkach: przede wszystkim obchodów 50 rocznicy Rewolucji Październikowej oraz wzmożonej działalności z młodzieżą i dorosłymi. Oto niektóre spośród długiej listy imprez organizowanych dla uczczenia Wielkiego Października:

— Filharmonia rzeszowska wystąpi z programem, w którym znajdą się piosenki radzieckie, wojskowe i partyzanckie,

— w akademii z okazji Dnia Nauczyciela w części artystycznej zespół teatralny hutniczego ZDK wystawi sztukę „Studencka miłość",

— w listopadzie Opera Warszawska wystąpi z „Halką" i „Eugeniuszem Onieginem".

Niemniej duży nacisk kierownictwo ZDK kładzie na pracę z młodzieżą niezrzeszoną, z zespołami, z klubem rozrywkowym „ Niezapominajka", z Klubem Ciekawych itd.

Perspektywy pracy k. o. stalowowolskiego ZDK na okres jesienny są optymistyczne. Dom kultury borykał się z pewnymi trudnościami organizacyjnymi, odkąd jego były kierownik Władysław Bobek odszedł na stanowisko sekretarza KM PZPR. Obecnie ZDK zyskał ponownie dobrego opiekuna. Najbliższe miesiące pokażą, dokąd zmierza stalowowolski Zakładowy Dom Kultury.

H. K.

Kalman Segal

Uczmy się historii

Uczymy się historii, zachwycamy się historycznymi powieściami, w których znajdujemy świadectwo obyczajów epok minionych. Mamy pewne pojęcie o życiu człowieka w średniowieczu i w starożytności. Ale cóż wiemy o radościach i cierpieniach, o marzeniach i myślach naszych dziadków, którzy żyli zaledwie pół wieku temu?

Kochamy stare fotografie, pożółkłe podobizny przodków, dokumenty dotyczące naszych antenatów — rodowody.

Do opowieści o przodkach mamy stosunek emocjonalny, serdeczny. Oni sami jednak, poprzednicy nasi, pozostali dla nas prawie nieznani, otoczeni tajemnicą, jaka jest przywilejem pokoleń minionych.

Niekiedy czytamy stary, wyblakły list pisany przez człowieka dziś już nieistniejącego — także adresat tego listu jest już tylko wspomnieniem, a treść listu jest dzisiaj wzruszająco banalna, choć kiedyś była dla autora ważna jak życie i śmierć.

W takich starych papierach szukamy korzeni naszej egzystencji — cieni naszych ojców.

O antenatach mówimy chętnie. Tworzymy o nich powieści i mity. Jesteśmy przekonani: To byli wspaniali ludzie. Mieli silne charaktery. Byli nieugięci. Dumni. Rozumni. Wierni. Wspaniałymi ludźmi byli.

Byli tacy nieskazitelni i piękni — nawet z największymi wadami było im do twarzy.

Byli tacy mądrzy, że nawet ich błędy brzmią w naszej ocenie imponująco.

Najlepszym dowodem ich szlachetności, to my. Ich krew w naszych żyłach.

Stworzyli rzeczy wielkie: świat, który po nich odziedziczyliśmy.

Takie opowieści i domysły snujemy na temat naszych przodków.

A co opowiadać będą nasi następcy o nas?

W sprawie pokrycia

Dziwnych, zaiste, mam przyjaciół. Oto jeden z nich: chodzi po świecie i rozdziela dobre uczynki. Poproście go o jakąś pożyczkę lub o lekarstwo na trapiące was udręki. W pierwszej chwili zrobi zdziwioną minę, zastanowi się, i natychmiast znajdzie dla was wyjście z przykrej sytuacji. Nie ma dla niego rzeczy niemożliwych — dobrą wolą potrafi przezwyciężyć wszelkie trudności.

Wczoraj wieczorem stał na rogu ulicy i wypisywał czeki dla ubogich przechodniów. Wypełniał je in blanco, pozostawiając każdemu możliwość wpisania dowolnej sumy.

Podszedłem do niego i zwróciłem mu uwagę na kodeks karny, w myśl którego wystawianie czeków bez pokrycia uważane jest za przestępstwo.

Oburzył się i rozkładając bezradnie ręce, odparł:

— Robię dla ludzi to co mogę. O pokrycie niech się kto inny zatroszczy.

Dzisiaj rano znów go widziałem w tym samym miejscu. Rozdzielał miejscówki do Królestwa Niebieskiego. Chętnych było wielu.

Widziałem te bilety i ostrzegam: numerowane miejscówki do nieba są nieważne.

Miejcie się na baczności. Nie wierzcie dobroczyńcom, wystawiającym czeki in blanco...

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2051, 2057 — wewn. 198. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.